

PRZE KRÓJ



Znana tancerka Zizi Halama w duecie z holenderskim tancerzem Jo Barends (patrz felieton na str. 10)

**CZY
TEL
NIK**

EDMUND OSMĄNCZYK: Konferencja Szesnastu
MICHAŁ RUSINEK: Spotkanie w ekspresie
KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: Królestwo Liczyrzepy

Nr 122
10-16 VIII 1947
CENA 25 ZŁ

PRINTED IN POLAND

PRZE KRÓJ

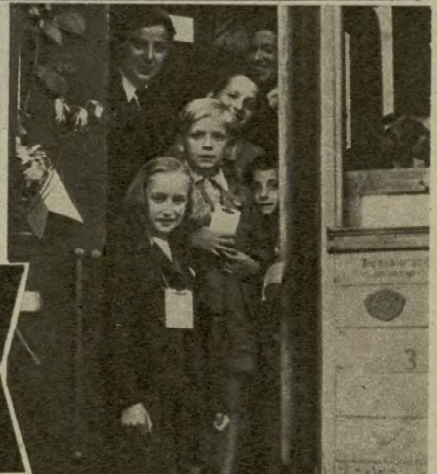
tygodnika



Trzy lata minęły już od wybuchu Powstania w Warszawie. Dziesiątki tysięcy żołnierzy Polskiej Podziemnej padło wówczas w nierównej 63-dniowej walce z Niemcami, zakończonej upadkiem Powstania i zrównaniem Stolicy z ziemią. — Dnia 1 sierpnia odbyły się w całym kraju manifestacje rocznicowe i akademie żałobne. Na zdjęciu u góry: warta honorowa przed miejscem publicznej egzekucji w Al. Sikorskiego w Warszawie. Po prawej: składanie wieńców na grobach powstańców (cmentarz wojskowy na Powązkach)



Ambasada RP. w Rzymie wydała przyjęcie, urządzone z okazji Święta Odrodzenia. Na uroczystość zaproszeni zostali m. in. włoscy goście: min. spraw zagranicznych Carlo Sforza (w środku) i wiceminister Brusasca (pierwszy od prawej). Dyplomatów przyjmował ambasador prof. St. Kor (drugi od prawej)



Okolo 500 dzieci polskich z Berlina, których rodzice od kilku pokoleń zamieszkują b. stolicę Rzeszy, wyjechało tego lata do Polski, aby pierwsze w życiu wakacje spędzić na ziemi ojczystej. Na zdjęciu: odjazd dzieci z berlińskiego dworca Kaulsdorf



W Pięciu Stawach Polskich otwarte zostało nowe schronisko wysokogórskie. Na otwarciu przybyli tłumnie okoliczni górale wraz z orkiestrami i likworówką (wódką z korzeni górskich). Na zdjęciu: pierwszy gość schroniska wiceminister Władysław Wojski przemawia do zebranych. [Fot. Liberak]



W Warszawie zapadły dwa wyroki śmierci w procesie o kradzież 50 ton cyny. Na zdjęciu: osk. Lipiński wygłasza ostatnie słowo (Fot. Film Polski)



Cierpliwość i dobra wola zostały nagrodzone. 22 osoby, które w małżeństwie przeżyły przeszło 50 lat, a ponadto poszczycić się mogą posiadaniem przeszło 10-ciora dzieci — udekorowane zostały w sali krak. Rady Miejskiej złotymi i srebrnymi Krzyżami Zasługi. (Fot. Złotnicki)



Na Festival Młodzieży do Pragi czeskiej przyjechała m. in. ekipa artystów radzieckich, ze światowej sławy kompozytorem Chaczaturianem i primabaleriną Opery Leningradzkiej — Alłą Szelest na czele [zdjęcie po lewej]. Niezrównanym odtwórcą koncertu fortepianowego Chaczaturiana jest polski pianista St. Szpinalski, który wyjeżdża obecnie na dłuższe tournée do USA

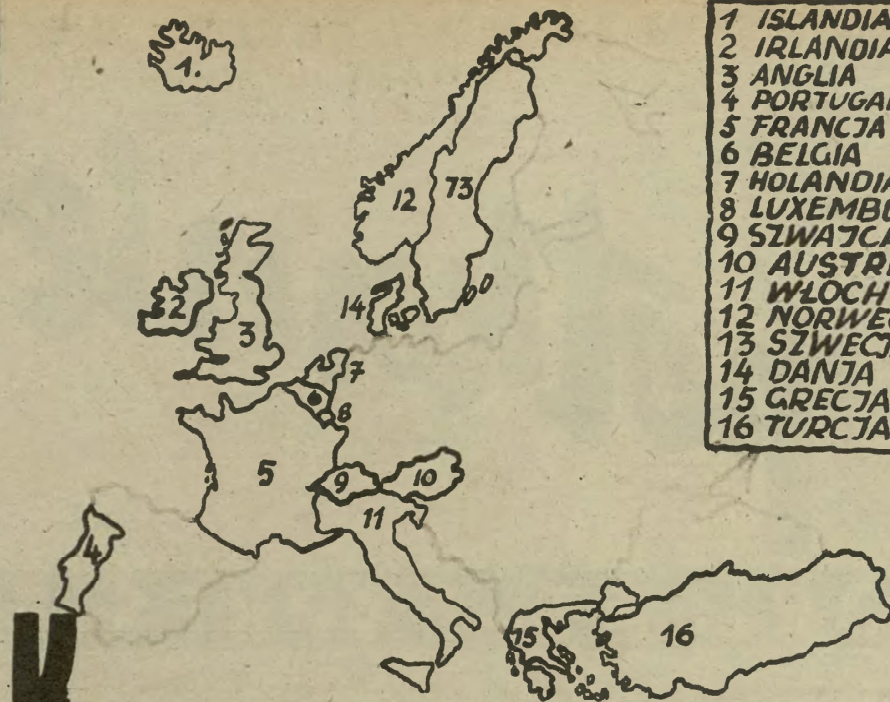
Paryż, w lipcu 1947

12

lipca wypadł w sobotę. Tegoż więc dnia rozpoczęły się w Paryżu zabawy ludowe z okazji 14 lipca, dnia zdobycia Bastylli i trwały aż do drugiej nad ranem 15 lipca. Tańczono na ulicach „jak za przedwojennych dobrych lat“, ognie sztuczne oświetlały Paryż i Sekwanę, a spod Łuku Tryumfalnego wystrzelały w niebo 3 snopy światła: błękitny, biały i czerwony — barwy narodowe Francuzów. Przez bulwary i place przesuwali się setki tysięcy przechodniów, gdy tymczasem na Quai d'Orsay przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych tylko kilkunastu gapiów przysłało się zajeżdżającym limuzynom z delegatami szesnastu państw, które wzięły udział w Konferencji Współpracy Ekonomicznej Europy, odbywającej się w dniach od 12 do 15 lipca w Paryżu.

Paryżanie przyzwyczajeni są do międzynarodowych konferencji w ich mieście, to też nie przywiązywali zbytnio wagi do Konferencji Szesnastu, tym więcej, że w tym samym czasie wypadły daleko ciekawsze dla Francuzów wydarzenia, mianowicie trzydniowe święto narodowe, następnie pertraktacje między pracownikami państwowymi, grzącymi strajkiem, a rządem, a na koniec największa sensacja sportowa Francji — wyścig kolarski, słynny Tour de France, w którym Francuzowi Vietto zagrali Włoch Ronconi i Polak Pawlisak, przedstawiciele naszej starej emigracji we Francji.

Polska w konferencji paryskiej udziału nie brała, podobnie jak Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia, Albania, Rumunia, Finlandia, Bułgaria i Związek Radziecki. Aby zrozumieć przyczyny tej nieobecności należy przypomnieć, iż w dniu 5 czerwca minister spraw zagranicznych USA, gen. Marshall zaproponował dość nieokreśloną cyfrowo pożyczkę dolarową Europie, o ile państwa europejskie wspólnie opracują plan współpracy ekonomicznej kontynentu europejskiego. Ten szlachetny gest Wujka Sama zmobilizował opinię europejską. Dwa tygodnie później przedstawiciele Związku Radzieckiego, Anglii i Francji zebrał się w Paryżu celem omówienia, w jaki sposób i w jakiej formie miałby być wypracowany plan gospodarczej odbudowy Europy, tak, aby Stany Zjednoczone udzielić mogły pożyczki Europie. Okazało się jednak, że trzy mocarstwa europejskie różnią się zasadniczo w pojmowaniu charakteru współpracy gospodarczej, i że zatem nie ma mowy o wspólnym planie europejskim. Jednocześnie stało się jasne, że inicjatywa Stanów Zjednoczonych poza szlachetnością gestu ma na celu i konkretne interesy amerykańskie. Nieuprzedzony do Ameryki J. Gascuel z „France-soir“ tak przekonuje swych czytelników, dlaczego w interesie Europy i Stanów Zjednoczonych leży plan Marshalla: „Europa od czasów wyzwolenia zjada resztki swego kapitału i nie później niż na wiosnę przyszłego roku, jeśli nie otrzyma pomocy z Ameryki, Europa skazana jest na nowy okres nędzy i głodu. W Stanach Zjednoczonych okres wojenny podwoił produkcję przemysłową i, jeśli Stany Zjednoczone nie znajdą ujęcia dla swych kapitałów i produkcji za granicą, wówczas Stanom grozi kryzys ekonomiczny daleko cięższy, aniżeli przedwojenny, i to kryzys ze wszystkimi konsekwencjami zaburzeń społecznych“. Ekonomicznie niewątpliwie więc istnieje bardzo realna plat-



- 1 ISLANDIA
- 2 IRLANDIA
- 3 ANGLIA
- 4 PORTUGALIA
- 5 FRANCJA
- 6 BELGIA
- 7 HOLANDIA
- 8 LUXEMBURG
- 9 SZWAJCARIA
- 10 AUSTRIA
- 11 WŁOCHY
- 12 NORWEGIA
- 13 SZWECJA
- 14 DANIA
- 15 GRECJA
- 16 TURCJA

KONFERENCJA SZESNASTU

forma dla współpracy gospodarczej amerykańsko-europejskiej, ponieważ zniszczona wojną Europa potrzebuje i kapitału i wielu rzeczy, których niezniszczona, lecz przeciwieństwo wzbogacona wojną Ameryka Europie dać może. Politycznie jednak platforma taka nie istnieje, ponieważ doświadczenie uczy, że zależność ekonomiczna bardzo łatwo staje się zależnością polityczną, to zaś prowadzić by mogło do okrojenia suwerenności państw europejskich na rzecz zamorskiego potentata amerykańskiego. Zrozumiałe więc jest, że Związek Radziecki, jako jedno z trzech mocarstw światowych nie chciał przyjąć na siebie zobowiązań, które by z jednej strony uzależniały go ekonomicznie od Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś strony dopomagały Stanom Zjednoczonym do utrzymania ich prymatu finansowego w świecie. W tej prostej formule zawarta jest tajemnica gry, prowadzonej przez trzy mocarstwa. W polityce kompromis jest możliwy tylko wówczas, jeśli korzyści są obustronne i równorzędne. Ponieważ dotychczas nie udało się sformułować tego rodzaju kompromisu, plan Marshalla nie mógł być przyjęty.

Wróćmy jednak do paryskiej konferencji, odbywającej się w świątecznym Paryżu. W sali jadalnej francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych odbyły się w ciągu trzech dni cztery plenarne konferencje delegatów szesnastu państw, trwające w sumie nie dłużej niż cztery godziny, a więc były to najkrótsze obrady z dotychczasowych międzynarodowych spotkań. Przy długim stole zasiadło szesnastu delegatów wraz ze swymi zastępcami, w sumie około 50 osób, a za ich krzesłami stworzono w ten sposób znany z teatrzyków paryskich „promenoir“. Około stu dziennikarzy zagranicznych opartych o barierkę przysłało się do konferencji, której przewodniczył minister Bevin. Już w pierwszym dniu stało się jasne, że państwa skandynawskie i Szwajcaria zachowują jak największą rezerwę, pragnąc nie dopuścić do stworzenia cegółkowego, co by hamowało swobodę zawierania przez te państwa układów handlowych z państwami nie biorącymi udziału w konferencji. „Komitet

Współpracy Ekonomicznej Europy“ powołany przez delegatów szesnastu państw, zgodnie z życzeniem Szwecji ma charakter prowizoryczny i pozostaje otwarty dla wszystkich państw, które nie wzięły udziału w obradach. Delegat Irlandii, wicepremier Lavaas, podkreślił z naciskiem, że nie chodzi o żaden plan, lecz jedynie o sugestię współpracy ekonomicznej. Wyniki konferencji były zatem bardzo nikłe, okazało się bowiem, że jest niemożliwe odbudowanie Europy bez wszystkich państw Europy. Organizatorzy zresztą zdawali sobie sprawę, że wyniki będą nikłe, i że nie ma mowy o stworzeniu jakiegos ściśle określonego i formalnie ze sobą powiązanego bloku zachodniego. Jeśli mimo to konferencja się odbyła, to dwie intencje kierowały organizatorami: Sugerowanie opinii amerykańskiej, że w Europie tylko Anglia i Francja dążą do zdecydowania do odbudowy zniszczonych krajów, oraz — zainicjowanie nowego podziału sił w powojennej Europie. Tu na pierwsze miejsce wysunęło się aranżowanie od dłuższego czasu przez Leona Bluma zbliżenie włosko-francusko-angielskie. Hr. Sforza, jako przedstawiciel Włoch starał się w czasie konferencji zdobyć jak największą popularność i, co było niezwykle charakterystyczne, na zakończenie obrad powołując się na swój podeszły wiek wystąpił w roli przedstawiciela wszystkich zebranych delegatów, aby wyrazić podziękowanie Francji i jej przedstawicielowi ministrowi Bidault za gościnę. W odpowiedzi Bidault z radością podkreślił, że była to pierwsza konferencja, w której spotkali się po wielu latach przedstawiciele różnych narodów. Pod słowem „różnych“ należało rozumieć „ex-nieprzyjacielskich“. Należało się spodziewać, że w niedługim czasie w Rzymie i w Paryżu usłyszeć będzie można piękne słowa o tradycyjnej przyjaźni francusko-włoskiej.

Najzabawniejszą postacią konferencji był ambasador Grecji w Paryżu, Raphael, który w rzeczu i pełen rezerwy ton obrad wprowadzał patos południa. Chwając z entuzjazmem plan Marshalla, podkreślił ku radości zebranych, że te same zasady polityczne, ekonomiczne i moralne, które rządzą

Stanami Zjednoczonymi, rządzą obecnie w Grecji. Było to przemówienie wygłoszone tegoż dnia, kiedy w Atenach zapelniano więzienia aresztowanymi, a w północnej Grecji partyzanci zdobywali Koricę i Janinę.

Delegaci Portugalii, Islandii, Szwajcarii i Luksemburgu nie zabierali w ogóle głosu. Inni delegaci starali się podkreślić, że dotychczasowe umowy handlowe, które zawarli, jak i te, które w przyszłości zawierać będą, nie mogą być ograniczone przez Komitet Współpracy Ekonomicznej Europy. Innym drobnym spostrzeżeniem było, że na konferencji przyjął się już zwyczaj skróconego głosowania, mianowicie przewodniczący, minister Bevin, zadawał tylko sakramentalne pytanie, czy ktoś sprzeciwia się wnioskowi. Po tamtej wojnie przyjęte było potrójne demokratyczne głosowanie, mianowicie, kto jest za wnioskiem, kto jest przeciw wnioskowi, i kto wstrzymuje się od głosowania. W latach faszystzmu skrócono tę formułę do pytania, kto jest przeciw, no, i jak widzimy, skrót ten uzyskał prawa międzynarodowe.

W czasie konferencji słowo „Niemcy“ nie padło ani razu. Niemniej problem ten ciążył nad konferencją wyraźnie, a wiadomość o projekcie amerykańskim stworzenia z Zagłębia Ruhry condominiumu anglo-amerykańskiego, któremu USA udzielić pragnie kredytu trzystu milionów dolarów, zakłóciła Francuzów. Okazało się bowiem, że bez udziału Francji Anglia i Ameryka pragną gospodarzyć Nadrenią i Ruhrą, a dalej, że Anglia pragnie z tym nowym condominiumem związać Belgię, Holandię i Luksemburg, trzy państwa, które niedawno połączyły się unią celną i przyjęły nieoficjalną wspólną nazwę Benelux (Belgique, Nederland, Luxemburg). Francja nie po raz pierwszy przekonała się, że interesy anglo-amerykańskie w Europie mają pierwszeństwo przed interesami anglo-francuskimi, i że zatem wobec nikłych rezultatów konferencji paryskiej otwarte pozostaje dla Francji nadal zagadnienie stworzenia jakiegos rozsądnej współpracy wszystkich narodów europejskich, współpracy dyktowanej interesami całej Europy.

EDMUND OSMAŃCZYK

Spotkanie

W ORIENT-EXPRESIE

Na lewo leżą zielone uciśnione wody jeziora. Przedmieścia Zurychu spływają wraz z lasami w dół ku wodzie. Expres Bazy-lea—Warszawa ucieka ku granicy.

Patrzę z zachwytem na jezioro, szukam w lasach po drugiej jego stronie zarysów półwyspu Au, na nim gospody uroczej, w której nie dawno z gościnnymi Szwajcarami piliśmy smakowite wytrawne wino i wsluchiwałem się w muzykę leśnych rogów szwajcarskich, płynącą w rosie traw i w ciszy nieporuszonych świerków.

Nie mogę stąd rozpoznać kształtów owego wzgórza, przypadkowy współtowarzysz podróży, Szwajcar jadący do granicy, chętnie objaśnia.

— Tak, to półwysp Au, dalej za nim na wschód widać Rapperswil.

Rozmowa ze Szwajcarem zaczęła się na Rapperswilu, skończyła się na Hitlerze.

Szwajcar chętnie rozmawia o minionej wojnie. W wielu zdaniach podkreśla z szacunkiem rolę Polski w tej wojnie, o Szwajcarii mówi skromnie, bo sami tu nie cierpieli, siedzieli zdawałoby się jak u Pana Boga za piecem a jednak...

— Nie było tak spokojnie, proszę pana. I nam Szwajcarom zagrażali Niemcy, okrążali kraj nasz.

Pokazuje na mapie Szwajcarii owe punkty obsadzone swego czasu przez Niemców.

— Stawialiśmy bunkry na wszystkich wylotach naszych skalistych dróg. Co więcej w momentach dla nas najgroźniejszych zapowiedzieliśmy, że wysadzimy w powietrze wszystkie mosty, tunele i przede wszystkim najważniejszą arterię naszego kraju, drogę Gottharda.

Słucham, wiem co by znaczyło w praktyce wykonanie takiego zamysłu. Zamieniliby cały kraj w skaliste niedostępne masywy, odciecie na całe lata od wszelkiej komunikacji.

Expres jest teraz nad jeziorem Wallensee. Podchodzą do okna nowe masywy górskie. Tak, wysadzić tu wszystkie drogi i przełęcze, to znaczy zamknąć się w skalach, wtedy nie mogłyby toczyć się bezkarnie i swobodnie gasienice niemieckich czołgów, jak to było na opuszczonych polskich równinach.

Ren na granicy za Buchsem jest tak samo zielony jak jeziora szwajcarskie, domy takie same, lasy takie same, ściany skalistych gór i granie różowe w słońcu takie same jak tamte.

Ludzie tu będą inni — tu już Liechtenstein, a potem Austria.

W Feldkirch wsiada do przedziału pierwszy tutejszy pasażer, Niemiec czy Austriak.

— Guten Tag.

Kiwam głową. Pcha swój ongiś wojskowy, wypchany plecak na półkę, rozgląda się zaniepokojony.

Przedział jest wytworny, przedwojenny, poznać po pasażerze, że rzadko widuje się tutaj takie.

— Czy to przedział wojskowy, zarezerwowany dla Amerykanów?

— Nie — odpowiadam.

Siada uspokojony i przygląda się zainteresowany pluszowym kanapką. Rozumiem jego zdziwienie. Jest to bowiem wóz szwajcarski, który tu rzadko przechodzi granicę. Normalnie wchodzi w skład pociągu wagony francuskie. Dziś zawiódł expres z Paryża, bo rano wybuchł strajk kolejowy we Francji — wagony są zatem z Bazylei.

Pasażer w exwojskowym mundurze, przerobionym na cywila siedzi spokojniejszy. Rozpina rogowe tyrolskie guziki, przyszyte na miejscach dawnych blaszanych wron, wyjmuje tytoń i nabija fajkę.

Rozmawiamy zrazu mało. Kim jest, nie wiem, jeździ często tą trasą do Linzu i z powrotem. Patrzę na plecak i kojarzę domostwo — pewnie to szmuglerz żywnościowy. Jego plecak przypomina toboły wleczone w czasie okupacji ze wszystkich okolic Warszawy, tyle, że tamtych nie wozilo się na wyszczelanych kanapkach drugiej klasy.

Rozmowa rwie się, wpadamy w ciemność tuneli. Najdłuższy z nich przy St. Anton, trzyma nas w ciemności dziesięć minut. Zniknęła mi z oczu opalona ostra twarz Austriaka i jego szpakowate włosy ostrzyżone na jeża. Mapę czuję pod palcami. Potem znów dzień wchodzi, stacja Landek za chwilę.

Wnet będzie Salzburg a potem Attnang Puchheim-stacja, którą i bez tej podróży będę pamiętał na całe życie. Gdzieś w tych skalistych drogach, w kawernach nagich kamieniołomów żyją pamiętne dni. Attnang Puchheim to stacja, związana z byłym obozem koncentracyjnym w Ebensee.

Pasażer w poesmańskim mundurze myśli o czymś innym. Patrzy na moją mapę, na siatkę czarnych linii kolejowych i mówi ku mojemu zdziwieniu.

— O, Linz — jedzie palcem na wschód, — Praga — Warszaw. Smoleńsk, Moskau...

Opalona twarz zbliża się do Smoleńska, dym z fajki zakrywa Moskwę.

— Moskau, Moskau, byłem tam niedaleko.

— Kiedy?

— W czterdziestym drugim roku.

— Pod samą Moskwą?

— Nie, osiemdziesiąt kilometrów przed nią.

Iskry ma w oczach, ponure krechy na czole stają się wyraźniejsze.

— Gdyby nie czterdzieści pięć stopni mrozu, zdobylibyśmy ją na pewno, mein Herr!

To „Mein Herr” jakieś żalonne i niepokojące, mówi wiele. Zdobylibyśmy Moskwę. Co by to nie było — Europa niemiecka! A potem pewnie południe, Iran, Bagdad, Indie. Tego nie mówi, ale w dymie jego fajki snują się marzenia.

— W Warszawie długo pan był?

— Pół roku. Stamtąd poszedłem na Smoleńsk.

— Nie lubię wracać do tematów wojennych. Wojna to nieszczęście — mówię zdawkowo — człowiek pracy najlepiej czuje się w pokoju.

— O nie panie, wojna jeszcze będzie — odpowiada nagle podniecony.

Twarz byłego esmana ciemnieje krwią, piwne oczy szukają w pamięci wspomnień krwawego pochodu.

Język mi cierpnie, hamuję się. Austria jest przecież wolna, politycznie rozgryszona. Ja jestem tu teraz przejeżdżnym gościem, pasażerem, niedawno pokazywałem paszport nowej policji austriackiej. Biorę gazetę i czytam. Nie czytając, zastaniam się. Pociąg rwie przez skalisty, poszarpany Tyrol. Gdzieś tu za pół godziny wyskoczy za oknem napis Attnang-Puchheim. Znam ten kraj, wiem co kryje w sobie uroda skalistych ścian, łamanych wiertniczym świstem.

Na razie są inne niż te, nazwijmy je „nasze” kamieniołomy. Widzę wózki, lokomotywy, leżące pod skalami a wywrócone progi kolejowe, żwir sypie się strumyczkami po skale. Na szczęście inni ludzie teraz pracują.

Stacja Attnang-Puchheim!

Ruina i gruzy, żelazowo i kamienne wióry. Tak jak wtenczas, pamiętam. Załogi naszego obozu przychodziły tu po każdym bombardowaniu bić kilofami w skotłowaną ruinę. Lżej tu było niż w kamieniołomach, bo cóż bomby, kiedy tu można było znaleźć w pogruchotanych wagonach ryż, mąkę i cukier.

Gdzieś niedaleko stąd jest jeszcze druga filia mauthauseńska, oboz w Melku. Trasa ta sama co do Linzu, samo tylko Mauthausen nieco w bok od głównej linii.

Trzy lata temu jechało się tą trasą nie w expresie, lecz w tyrolskich wagonach, także w towarzysztwie austriackich esmanów.

Stało się na śniegu i deszczu, czekając po pracy godzinami, kiedy przeleci ówczesny niemiecki expres Mitropa z oświetlonymi oknami. Dziś nie widać dziesięciu tysięcy odwróconych tyłem do pociągu więźniów, pokrytych pyłem kamieniołomów. W głowie się mąci gdy wspomnę, że tu właśnie na rampie Francuz, kochany Pière z Grénoble, chory na czerwonkę na rozkaz esmana oddawał kał do własnej miski na zupe.

Pociąg huczy, konduktor przecina bilety, wszystko nareszcie ginie z oczu.

Schöne Landschaft, piękna okolica — mówi Austriak.

Piękny kraj, góry kłaniają się pociągowi, góry niedawno nienawistne, uciążliwe w marszu.

Pasażer z jeżem na głowie, z tyrolskimi guzikami przy bluzie pochyla się ku mnie, prosi o zapalki. Zapala fajkę i patrzy na moją lewą kłapę od marynarki.

— Cóż to za odznaka?

Odznaka jest malutka, litery na niej jeszcze mniejsze. Mały czerwony trójkąt i literka „P” pośrodku.

Krepuję się odpowiedzieć, ale trzeba.

— Znak byłych więźniów z obozu koncentracyjnego Mauthausen. Litera „P” Polak — Pole, wszystko jedno — na oba języki pasuje.

Pasażer traci opaleniznę z twarzy, staje się całkiem żółty.

— Pole? Z obozu Mauthausen?... Nic nie wiem, co to jest Mauthausen.

Dostaje teraz zaniku pamięci. Pamiętał co jadł w Warszawie, jak wygląda Smoleńsk i którego dnia wiał spod Moskwy. Teraz nie wie, że tu obok jest Mauthausen. Nie wie, że mineliśmy stację dojazdową obozu w Ebensee i że przeleciał tuż pod nosem trzeci obóz Melk. Jedź tu na szmugiel co tydzień między Feldkirch a Linzem i nie zna trzech „pomnikowych” twórców Hitlera.

„Mein Herr”, lepiej pan pamięta Warszawę, stępy ukraińskie niż własny nie duży przecież kraj, ograbiony pasmami murów więziennych na górze Mauthausen.

Nagle poprawia zieloną bluzę poesmańską, wstaje, czyści ręką guziki. Nie ten człowiek, nie ten uśmiech, nie ten głos.

— Mein Herr! Panie, panie, jak ja byłem w Warszawie to, wie pan, miałem funkcję jako szofer w brygadzie pancernej, woziłem do pułku mięso i jaję. Ile ja tego rozdałem ludności w Warszawie! Mięso dawałem, jaję dawałem, mąkę dawałem, czym mogłem się z ludnością polską dzieliłem.

Uśmiecham się, nie nie mówię. Pamiętamy przecież wszyscy takich wielu. W czasie okupacji całe szpalery esmanów stały na ulicach Warszawy i rozdawali ludności mięso, jaję, i mąkę. Opędzić się nie było można!

Śmieje się. Niemiec patrzy z niedowierzaniem, niespokojny. Wszedł do przedziału, gdzie nie było wprawdzie napisu „Militär”, ani rezerwowanych miejsc dla Amerykanów, ale nie najlepiej trafił.

Góry za oknami maleją, szalasów już nie widać, lecz do Linzu jeszcze daleko. Dlaczego biedaczysko się spieszy, nie powiedziałem jednego przykrego słowa.

Bierze z półki przetłuszczony plecak.

— Auf Wiedersehen, mein Herr.

— Do widzenia.

Może wysiadł, może przeszedł do innego wagonu? Po jego wyjściu Orient Expres wpadł w lasy jodłowe, zniknęły góry obarczone wspomnieniami.

Jechałem sam. Po esesmanie został popiół z fajki leżący w zagłębieniu mapy, rozsypany na trasie Warszawa—Smoleńsk—Moskwa.

MICHAŁ RUSINEK



ŚWIATOŚĆ

Czy przypominacie sobie — o Czytelnicy w sile wieku — ile wrzawy wywołało w świecie narodzenie się kilkanaście lat temu w Kanadzie pięcioraczek? Potem świat zajął się na dłużej pewnym krzykliwym jedynakiem i przestał interesować się pięcioma siostrami Dionne. — Przed paroma tygodniami odbył się w stolicy Kanady, Ottawie, Kongres Mariański z udziałem 250.000 wiernych i 6 kardynałów. I oto kardynałom przedstawiono 5 przystojnych panien na wydaniu. Są to owe właśnie słynne pięcioraczki, które podrosły, bowiem lata idą i ani się obejrzymy, jak przy jakiejś następnej uroczystości jakimś dostojnikom przedstawionych zostanie pięć babek, które ciągle będą tymi samymi kanadyjskimi pięcioraczkami. Stąd nauka dla wszystkich: o przemijalności spraw świata tego, konieczności ciągłego doskonalenia się i przygotowywania do wieczności.

FOT: SAP, PLANET NEWS i „PHOTO-SERVICE” — MOSCOW

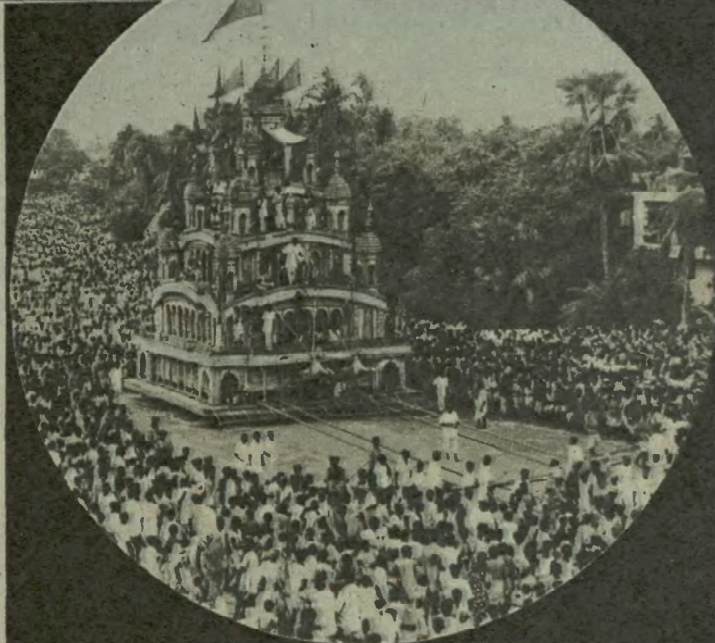
MAGAZYN
OPATRZNOŚCI

D. D. T.

Ludzie, ceniacy sobie ustalone i niezmiennie pojęcia są przekonani, że nad Oceanem Lodowatym jest przez okrągły rok zimno, śnieżno i w ogóle ponuro. W rzeczywistości i tam jest lato, podczas którego spływają lody, a ziemia pokrywa się roślinnością. Wtedy z Oceanu wychodzą na ląd setki tysięcy fok, by zająć się sprawą kontynuowania swego gatunku. Łączą się w pary, mnożą i wychowują potomstwo. — Ta droga zacna opatrność dba o to, by w okresie upałów, kiedy lekkomyślnie myślimy tylko o tym, jakby się najbardziej rozebrać, — aby w tym okresie nad Oceanem Lodowatym mnożyły się i rosły dla nas futra na zbliżającą się zimę. Tak przynajmniej wierzymy, gdyż jesteśmy ogromnie zarozumiali i wydaje nam się, iż opatrność zajmuje się wyłącznie nami.

Tegoroczną, nieoczekiwaną klęską Szwecji są robaki, które niszczą tam drzewa owocowe. Przystąpiono do walki ze szkodnikami w ten sposób, że helikoptery rozpylają nad sadami proszek DDT. Ten sam „dedete” jak mówią rozsądni, lub „diditi” jak mówią snoby, który uwalnia powojenną Europę od plagi wszy i pluskiew i który uwolnił całe połacie Dalekiego Wschodu i Południa od malarii, tępiąc złośliwe muchy i komary. Gdyby mniej ludzi na tym najlepszym ze światów mówiło „diditi” a więcej „dedete”, to kto wie, czy nie doszlibyśmy do zgodnego wniosku, że najcenniejszym wynalazkiem XX w. nie jest rozbicie atomu, lecz właśnie ów niezwykle proszek DDT.

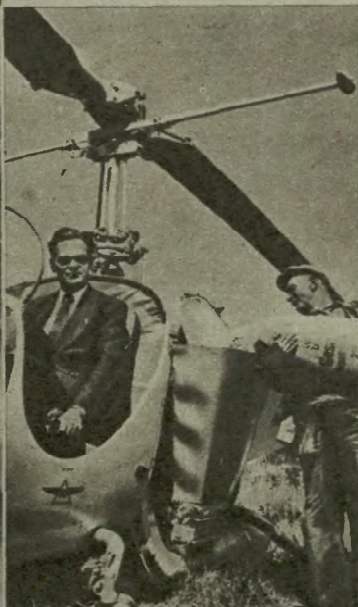
WÓZ BUDDY



Równocześnie z Kongresem Mariańskim w Ottawie, po drugiej stronie ziemi — w Midnapore, w Indiach odbyła się najmniej liczebnie potężna manifestacja religijna, której przedmiotem był Bóg uosobiony w postaci Sziwy. Tłumy wiernych ciągnęły na sznurach 5-piętrową świątynię na kołach, zwaną „Wozem Sziwy”. Fanatycy rzucali się pod koła wozu, gdyż taka śmierć — zgodnie z wierzeniami Hinduów — pozwala duszy zmarłego najprzyjemniej rozplynać się w wieczności. Nie wszyscy jednak chętni mogli się docisnąć poprzez tłumy w pobliże wozu. Niektórzy będą musieli przez cały rok czekać, aż im się może uda rzucić pod święte koła.

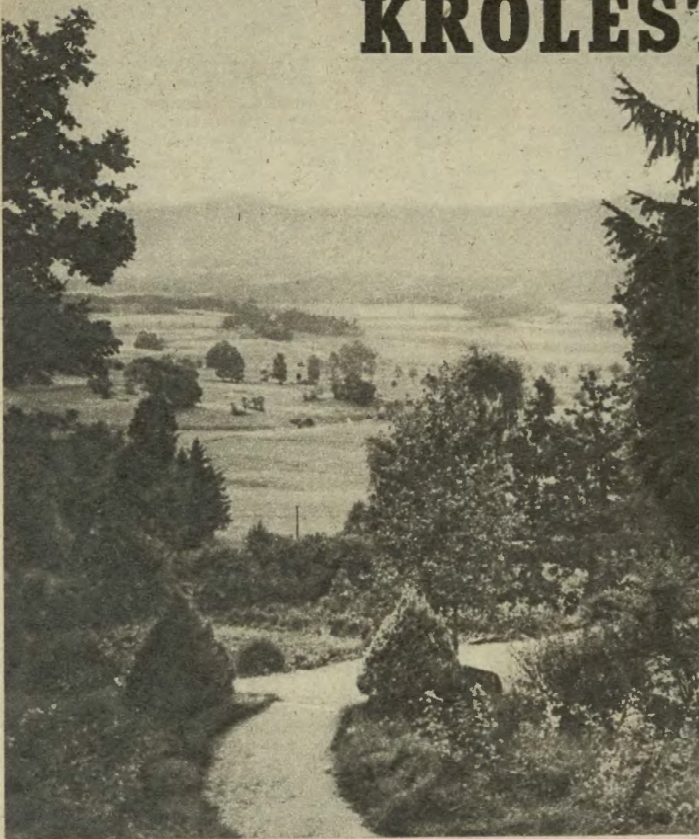
FRUWAJĄCE TALERZE

USA ma nową sensację. USA jest skłonne do paniki, więc bardzo się tą sensacją przejmują. Na niebie nad Stanami Zjednoczonymi ukazują się mianowicie od pewnego czasu na ogromnej wysokości żelazne dyski, które spadają, nie czyniąc chwilowo nikomu krzywdy. Jeden z takich „fruwających talerzy” spadł do ogrodu pewnego obywatela Hollywood i został sfotografowany. Policja i wywiad wojskowy USA głowią się napróżno, skąd, w jakim celu i jakimi środkami talerze te są wyrzucane. Chwilowo — jako wynik pojawienia się tajemniczych dysków — skonstatować można zmniejszenie się popularności bomby atomowej i — pewności siebie Amerykanów.



KRÓLESTWO LICZYRZEPEY

Po lewej: widok na szczył Śnieżki w Górach Olbrymich



SNY NOCY LETNIEJ

Z kilkunastogodzinnego snu budzą mnie raptem odległe okrzyki i głośna romowa. Poza drzwiami mego pokoju, na korytarzu lub też w pokojach sąsiednich tego barożnego, kiepskiego hotelu w Wałbrzychu, toczy się jakaś awantura. Słyszę głosy męskie i podniecony kobiecy. Zegarek wskazuje wpół do drugiej w nocy; zakładam okulary, trzeźwieję i uważnie słuchając staram się uchwycić sens konfliktu.

We wszystkich hotelach dolnośląskich, wiszą rozporządzenia, iż w pokojach zamieszkiwać mogą albo małżeństwa albo wyłącznie przedstawiciele jednej płci. Nie wiem, jak przeprowadzana jest kontrola w innych hotelach, nigdy się z nią nie spotkałem. Widocznie milicja ufała portierowi. W wałbrzyskiej „Warszawiance”, gdzie dzięki fatalnym rozkładom kolejowym wypadło mi nocować, rewizja milicji odbywała się co drugą noc. Milicjanci mają wyrobione „oko”, gdyż nie do wszystkich pokoiów wchodząc, trafiają doskonale.

Właśnie w sąsiednim pokoju toczy się taka sprawa. W numerze „dziesiątym” milicjanci odkryli parę dość przypadkową. Ona — urzędniczka jakiegoś zjednoczenia łódzkiego, przyjechała do Wałbrzycha w drodze na wczasy, winna znajdować się w pokoju numer 5, tam jest zameldowana. On — nie wiem kto. Dość, że, jak wynika z historycznych wykrzykników kobiety — poznali się dopiero przed paru godzinami. Milicjanci, rugając portiera, który opowiada fantastyczerne „duby smolone”, chcą zgodnie z przepisami sanitarnymi zabrać kobietę na posterunek. Tam zostanie jutro rano przeprowadzone badanie lekarskie. Jeśli jest zdro-

wa — puszcza ją swobodnie. Chora — zatrzymają do przymusowego leczenia. Mężczyzna w takich wypadkach — i tu zaczyna się niekonsekwencja całej sprawy — nie jest niepokojony. Może spać dalej w pokoju, i chory czy zdrowy, robić następnego dnia co mu się podoba. Tej nocy jednak historia układa się nieco inaczej. Kobieta stawia czynny opór; wstyd jej iść w nocy z milicjantami przez miasto. Mężczyzna staje też czynnie w jej obronie. Słyszję jak obie strony wymyślają sobie zawzięcie i wreszcie dochodzi do bójk. Pełen byłam podziwu dla spokoju, taktu i cierpliwości prostych milicjantów, którzy długo nie dali się sprowokować długim i wręcz obraźliwym zachowaniem łódzkiej urzędniczki. Wobec czynnego oporu — oboje zostali zaarrestowani. Rano — mężczyzna wrócił po swe rzeczy do hotelu. Co stało się z kobietą — nie wiem. Nie interesowałem się już tym.

Wałbrzych — imponujące miasto, które wypada nazwać „miastem mocy”, będące kuźnią przemysłu dolnośląskiego walczą z plagą tych ziem, a specjalnie miast przemysłowych, z nierządami i chorobami wenerycznymi. Walczą skrupulatnie — i wolno mi mieć nadzieję, że skutecznie. Nie mogę się jednak wstrzymać od uwagi: walka prowadzona jest niekonsekwentnie. Dlaczego tylko kobieta poddawana jest rygorom i badaniom lekarskim? Czyż rozsądnie — mi chorób nie mogą być i nie są również mężczyźni? Dlaczego przeprowadza się parę razy w tygodniu badania i rewizje w tym hotelu, a nie zlikwiduje się „instytucji”, która jest wręcz skandalem? Jest to bowiem hotel z pokojami, do których można wejść nie przechodząc obok portierni, a więc do których

każdy może zostać wprowadzony. W 89-cio tysięcznym centrum Wielkiego Wałbrzychu można chyba znaleźć lokale specjalnie nadające się na hotele, łatwe do kontrolowania przez godnego zaufania portiera.

MIASTO MOCY

180-cio tysięczne wielkie miasto, administracyjnie rozbite na parę mniejszych, jak Solice, Solice-Zdrój, Stary Zdrój, Sobięcín, Biały Kamień, — jest centralnym ośrodkiem potężnego okręgu przemysłowego, jakim jest pas sudeckiego podgórze. Brzydko zabudowany, ciasno sfłoczony w dolinie, o przedmieściach rozrzuconych od siebie o kilkanaście kilometrów, pozbawiony imprez i instytucji kulturalnych, w skandaliczny sposób zaniedbany przez administrację czasopism i książek Polski Centralnej, a równocześnie pulsujący gorączką wielkiego miasta przemysłowego — Wałbrzych przypomina trochę Łódź i Katowice, zanim oba te miasta nie zrobiły, wielkiej powojennej kariery państwowej i kulturalnej.

Gdy wyszedłszy trochę dalej — turysta wdrapie się na okoliczną górę, lub przejeżdżając pociągiem efektowną serpentyną toru kolejowego, rzuci okiem na miasto — stanie zdumiony ilością kominów, szybów, wież wyciągowych, zbiorników i tych wszystkich pospolitych ośrodkom przemysłowym oznak istnienia fabryk, kopalni, hut. Idąc krętymi uliczkami Wałbrzycha — trudno wyobrazić sobie i uzmysłowić jego potęgę przemysłową. Chyba, że w godzinach początku i końca dniówek czy szczyt potrafimy wyciągnąć trafne wnioski z tysięcy i tysięcy robotników przewalających się ulicami.

A mają dokąd iść rano i wracać po południu ci górniczy i robotnicy! Już samo tylko wyliczenie kopalń i fabryk Wałbrzycha przyprowadza laika swoją potężną ilością o lekkim zawrocie głowy. A co dopiero, gdy będąc wprowadzony do czystej, jasnej, tajemniczo błyskającej skalami i żarówkami dziesiątków rozdzielników, nastawni wielkiej elektrowni na kopalni „Viktoria” — dowiaduję się, że jest to jedna z trzech największych elektrowni w Polsce, która oświetla całą „odległą o 167 km Pragę czeską, i która posiada jeden z dwóch największych turbo-kompresorów na całym świecie. Jego „bliźniak” znajduje się dopiero aż w Południowej Afryce! Potem prowadzą ciekawskiego do wielkich koksoowni, by uprzedzić poinformować, że wskutek tego, iż węgiel wałbrzyski jest węglem specjalnie wysokokoksującym, to w takim roku 1945 — 80% ton koksu wyprodukowanych w Polsce przypada na wytwórczość Dolnego Śląska, to jest głównie Wałbrzycha. Nieopodal zaś stoi potężny zbiornik gazu, obliczony ni mniej ni więcej tylko na 100 000 m sześciennych gazu. Stąd gaz za pośrednictwem przewodów i rur idzie przez polski Zgorzelec aż do niemieckiego Görlitz.

A przecież prócz kopalni „Viktoria”, gdzie znajdują się te wszystkie gigantyczne cuda, jest tu jeszcze pięć dalszych kopalni, cztery koksoownie, brykietownia, dwie dalsze elektrownie. To się wlicza lekko, ale gdy nazwy takie jak „Mieszko”, „Bolesław Chrobry”, „Biały Kamień” i inne zaczyna wymieniać się na ilości robotników, ton węgla i koksu, kilowaty i megawaty — to dopiero wtedy ilości zer zaczynają nam uprzytamniać potęgę, na którą patrzymy.

A to jeszcze nie wszystko. Na drugim końcu miasta w Starym Zdroju, rozłożyły się po dwóch stronach ulicy, vis à vis siebie, największa w Polsce Huta Szkła Lanego i Lustrzanego, produkująca miesięcznie około 240 000 m kwadratowych szkła oraz Huta „Karol”, — która nie wspólnego z hutą nie ma, lecz jest jedyną w Polsce fabryką maszyn i konstrukcji stalowych przeznaczonych dla przemysłu górniczego, która w tej chwili przetwarza 300 ton żelaza miesięcznie, co na potrzeby polskie jest o wiele za mało. Przed wojną nie mieliśmy żadnej takiej fabryki.

O Wałbrzychu można nieskończenie... — można jeszcze cytować fabryki takie jak fabrykę lin, kalkomanii, maszyn elektrycznych, jak fabrykę artystycznej porcelany „Krietera” — jedną z owych fabryk piękna, jakie cieszą nas w Paśmie Sudeckim. I to jeszcze nie będzie wszystko.

A na Wałbrzychu Śląsk Dolny się nie kończy. W samych Sudetach co krok spotykamy tak wysoko uprzemysłowane miasta, jak Jelenia Góra, jak Dzierżoniów, jak Kamienna Góra, jak Kowary, Szklarska Poręba, Gryfin. Nie ma wioski by gdzieś z boku nie wyrósł, raptem wysoki komin i nie zarysowała się banalna ale dziwnie krępująca, sylwetka mniejszej lub większej hali maszyn i szopa podziemnego składu.

FABRYKI PIĘKNA

Trzy są fabryki piękna w sudeckim kraju baśniowego „Liczyrzepy”.

W brzydkim Wałbrzychu, przy niepozornej bocznej ulicy, nad banalną, osadzoną między czerwonym murem — fabryczną bramą — wije się kuty w żelazie napis: „Krieter”. Sławny na świat cały „Krieter”. Fabryka szlachetnej porcelany, ongiś należąca do koncernu fabryk Rosenthalowskich.

W ogromnych paru halach przy niezliczonej ilości poszczególnych warsztatów zgrabne ręce robotnic, uzbrojone w przemysłnie krecające się koła, w cienkie nożyki, autonomiczne przyceiski, formują z specjalnej masy biskwitowej — filiżanki, spodeczki, talerze płaskie i głębokie czy w inny nieco sposób — wazy, czajniki, maselniczki. Przedmioty, które już niedługo będą podziwiane przez amatorów, wyglądają w tej chwili, jak zabawki ulepione z szarej plasteliny. Nic nie zapowiada ich przyszłego piękna. Dalekie są jeszcze od tego, gdy

w wielkim piecu pieką się w 1000 stopniowej temperaturze. Wyjęte stamtąd, omalowane brudno-szarą glazurą — dopiero w następnym piecu, gdzie przez 42 godziny smażą się w 1400 stopniach gorąca — stają się białą, lekką, cieszącą oko porcelaną. Malowanie, dekorowanie złotem i deseniami kolorowymi, — praca wymagająca od dziesiątek robotników i robotników nie tylko zmysłu artystycznego ale i niesłychanej dokładności, — jeszcze jedna kapiel ognia i miliony sztuk porcelany, opieczutowanej firmowym znakiem „KPM made in Poland” mkną pociągami i okrętami w świat cały, do Szwecji, do Ameryki, na niedaleki europejski Zachód.

Podgórskie, śliczne miasteczko Kowary (niewiadomo dlaczego przemienione z dzwicznej „Krzyżatki”) jest nie tylko stacją klimatyczną i przeciwgruźliczą, ale siedliskiem kopalni rudy magnetytovej, fabryk porcelany technicznej, filców papierniczych, no i przede wszystkim — dywanów smyrnenskich jedynej tego rodzaju w Europie Środkowej, no i tej jedynej w Polsce, której dyrektorem naczelnym jest niewiasta.

Znów przechodzę przez rozległe hale, gdzie skomplikowane maszyny wykonywują części pracy, jak w sumie da nam na koniec wspinały dywan. Gremplarnie czyszczą, krzyżówki kręcą szpulki, z których na krzyżatkach robi się motki. A te znów pofarbowane i założone na najwspanialszą maszynę fabryki, na „zator” — konstruuja w przedziwnie magiczny sposób, z wzorców dywanowych odtworzonych za pomocą stosownego dziurkowania na długich pasach papierowych, — szynilje, to jest na palec grube kordonki, odpowiednio skomponowane kolorowo, z których na krosnach robotnice tkają już dywany. Jeszcze tylko wykończenie, frędzlowanie, strzyżenie, podklejenie — co mówi się szybko, ale w sumie trwa czasem i parę tygodni — i gotowy, ostemplowany sakramentalnym „made in Poland” dywan klasy „Sorma”, „Herad” lub „Kabul” idzie znów w świat na eksport. Głównie do Szwecji.

Trzecia wreszcie fabryka piękna — ulokowała się wśród gór Szklarskiej Poręby. Państwowa Fabryka Kryształów „Józefinka”. Jest to chyba już jedyna na świecie huta szkła, która dzięki kaprysowi swego dawnego właściciela Schaffgotscha, pokryta jest drewnianym gontowym dachem.

Pod tym dachem drewnianym w wielkim, jak piec jakiejś baśniowej Baby Jagi, kotłowni gotuje się szkło. Stojący dokoła, na małej arenie, niby w cyrku, robotnicy czarnoksięzniczy zahaczają na długą rurę „kropkę szkła płynnego” — wydychując, i wygniatają w formach karafki, kieliszki, szklanki, puchary, patery, tace. W szlifierni — przemysłni, dziesiątki lat pracujący już przy tym, kuglerzy ryją w grubym szkłe ostrymi kamieniami wzór kryształowy. I znów po wielkiej liczbie czynności wykonanych — po natępieniu znaczka „made in Poland” — piękne kryształy z huty „Józefinka” jadą — do Południowej Ameryki, do Palestyny, skąd rozchodzą się na cały Bliski Wschód.

Trzy fabryki piękna pracują w Sudetach. Wszystkie robią pięk-

no na eksport. Rozumiem potrzebę hierarchizowania potrzeb wyniszczanego wojną narodu, wiem, że waluty i maszyny, które w zamian za piękno wpływają do kas państwa naszego — są dla nas elementem życiowej wprost ważności, ale... ale patrząc na lekkie, złoczone serwisy w hucie „Krister”, na urzekające grą kolorów i natężeniem banw „Herat”, na iskrzącą się kryształową patere, serce mi ścisła zazdrość. Kiedyż napełni się worek naszych elementarnych potrzeb tak bardzo, by każdy mógł sobie swój dom i swój pokój urządzić i umilić tym pięknem, które fabrykują Sudety?

PERSPEKTYWA „ŚNIEŻKI”

„Śnieżka” (1605 m) jest najwyższym szczytem w 300 kilometrowym pasie gór Sudeckich i ich najpiękniejszej grupy górskiej, Karkonoszy. Tutaj zrodziła się popularna legenda o owym Liczyrzepie, który przeklął w kołysce przez własną matkę, stał się czarownikiem pomagającym biednym i ścigającym złych ludzi. Postać brodatego czarownika rzeźbiona jest tutaj wszędzie. Patrokuje ona czterem schroniskom, jakie są na „Śnieżce”. I wydaje się, iż dopiero teraz ten baśniowy czarownik staje się faktycznym symbolem pomocy ludziom biednym, czy jak by się rzekło bardziej nowoczesnie — szerokim rzeszom pracujących.

Na „Śnieżkę” nie powinni chodzić malarze, namiętni turyści miłujący piękno natury i spokój górski. Będą zgryzać zębami, jak robią to na Kasprowym Widoku ze „Śnieżki” — jest — bądźmy szczerzy — dość pospolity, choć ładny. Pod szczyt dostać się można szeroką ubitą drogą, w najgorszym razie dobrze ubitą ścieżką (dla amatorów większych trudności!). Pod szczytem są dwa okazałe schroniska: — polskie i czeskie, które wzajemnie wymieniają sobie elektryczności i wodę; w każdym wiszą portrety obu prezydentów, pocztówki można z Czech posyłać dla Polski i na odwrot. Od tych dwóch schronisk prowadzi na sam szczyt kamienny chodnik, którym niestannie idą ludzie. Jedna kolejka wchodzi na górę, druga, tuż obok, schodzi w dół. Polacy i Czesi, mężczyźni, kobiety i dzieci, nawet starcy. Skład socjalny tej ludności jest bardzo ciekawy. Jest to przeważnie proletariát miejski, ewentualnie środowisko drobnych urzędników. Są to właśnie owi wczasowicze, polscy i czescy, którzy w tej chwili zaludniają w ogromnych skupiskach wszelkie osiedla górskie, miejscowości wypoczynkowe, pensjonaty i wille. Przynajmniej raz w ciągu dwu- czy czterotygodniowego pobytu „wczasowicz” musi być przecież na „Śnieżce”. Tego wymaga miejscowy rytuał.

Ale właśnie dopiero ten niesympatyczny, jazgotliwy, śmiejący tłum wczasowiczów — daje rzeczywiste pojęcie o nasileniu akcji „wczasów”. Zziębnięcie wejściem na górę robotnicie łódzkich tkalni — może dopiero po raz pierwszy w życiu stanęły oko w oko z górkimi cudami natury. Dziś są na „Śnieżce” — jutro pojadą do Matejkowic by podziwiać „Złoty Widok”, pojutrze wdrapią się na strome skały zamku Kynast, jeszcze w inny dzień staną w niemym zachwycie przed perlistą chmurą wodospadu Kamieńczyka. Udostęp-

nione im zostało piękno i zdrowie. W najbardziej na wschód już w Górach Kłodzkich położonym Łądku-Zdroju, w Kudowej, Puszczkowie-Zdroju, Dusznikach-Zdroju, w Cieplicach i Solicach, gdzie ludzie chorzy przeprowadzają skrupulatną choć nudną kurację „piętą” i kąpielową, w Kamiennej Górze i w Krzyżatce, gdzie półtora tysiąca łózek czeka na gruźlików, w Karpaczu, Bierutowicach, Szklarskiej Porębie i w Wieuńcu gdzie wzmacnia się świeżym powietrzem górskim i pięknymi wycieczkami — wszędzie znajdują się teraz masy „wczasowiczów”, robotników i pracowników przemysłu i instytucji państwowych, samorządowych i społecznych. Im wystarcza jeszcze banalna „Śnieżka”, oni jeszcze krzyczą w górach i śmieją po halach, prymitywnie reagując na uroki strumieni i ciszę głębokiego lasu. Lecz już dzieciom ich nie wystarcza Śnieżne Jamy — pójdą one w Wysokie Tatry, gdyż udziałem ich stanie się awans zdrowotny i awans estetyczny, który ich pchnie na góry i na morza w indywidualnym poszukiwaniu kolorów, cieni i ech.

Lecz zacząć trzeba od „Śnieżki”. Oczywiście sumienny obserwator oburzy się na wiele niedokładności i absurdów, które sprawiają, iż wykorzystanie sudeckich wczasów nie jest tak intensywne, jak mogło być. Przejazd i pobyt są często za wysokie na zarobki robotnicze. ZUS zarządzający sanatoriami przeciwgruźliczymi nie wykorzystuje ich w należyty sposób, a zagwarantowawszy ich wyłączność dla swoich tylko członków, stworzył paradoks, iż nieubezpieczony w ZUSIE chłop nie może leczyć się tutaj na gruźlicę, nawet jeśliby słono płacił. Nie mówiąc już na przykład o artyście malarzu czy równie nieubezpieczonym pisarzu, jako o zawodach wolnych. O tych biurokratycznych i gospodarczych absurdach, których źródła biją zresztą rle tu, w krainie dobrego Liczyrzepy, ale w Polsce centralnej, — nie chcemy pamiętać stojąc na „Śnieżce” skąd rozciąga się widok na całą tak bogatą krainę sudecką.

Jestem sceptykiem i niedowiar-kiem, z namiętnością szukającym dziury, nawet w całym, ale gdy niedawno czasem wędrowałem sudeckim szlakiem, gdy podziwiałem jak harmonijnie spłotło się tutaj piękno i zdrowie natury z bogatością przemysłu rąk ludzkich, gdy widziałem nie tylko łagodne stoki zielonych gór, słuchałem nie tylko kojącego plusku wodospadów, ale wzrok spotykał wszędzie dymiące kminy, mrowne domy wsi i miasteczek, serpentyny asfaltowanych szos i zbiorniki wodne spiętrzone tamami, a równocześnie przemysł i cywilizacja nie potrafiły zatruć zdrowotnego powietrza tutejszego — to nabrałem niezachwianej pewności, że Polacy, przybyli tutaj ze wschodu dostąpili cywilizacyjnego awansu i że kraj ten teraz już jest, a w przyszłości będzie jeszcze bardziej, ziemią narodowej mocy, indywidualnego bogactwa, masowego zdrowia i uszlachetniającego piękna. Piękna i zdrowia hojnie szafowanego tu Ręką Bożą; piękna i bogactwa mozolnie produkowanego ręką ludzką.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

DEMOKRATYCZNY SAVOIR-VIDRE W ODCINKACH

opracował: Jan Klamyrczyk

ODCINEK XXIII

BON-TON W BIURZE

(Ciąg dalszy)

Jak wspomnieliśmy w poprzednim numerze, szef biurowy ma być dżentelmenem bez przesady. Bo jeśli ma obowiązek np. przepuszczać sekretarkę przodem przez drzwi — to nie ma obowiązku wysłuchiwać stojącego jej raportu o stanie kartoteki, chociaż sekretarka w tym momencie powiadomimy stoi. Krótko mówiąc — szefa w stosunku do podwładnych obowiązuje towarzyski bon-ton, lecz ciut-ciut ograniczony względami prestiżu i organizacji pracy. I odwrotnie — podwładnych w stosunku do szefa obowiązuje towarzyski bon-ton lecz ciut-ciut wzmocniony, czyli z szefami trzeba jak ze zgnitym jaskiem. Tylko uwaga — nie przesolić Zapalanie szefem papierosa (gdy się samemu nie pali) jak też całowanie ich w rękę jest stanowczo niesmaczne. Fe!

Osobnym rozdziałem zagadnienia „urzędnicy między sobą” jest problem, czy kobieta w biurze jest kobietą, czy też osobą płci obojętnej. Otóż bezwzględnie należy stwierdzić, że przez sam fakt pracy biurowej kobieta nie nie traci ze swych ograniczeń damskich atrybutów. Co zatem idzie, niechże kolezdy biurowi nie zamykają oczu na owe wspomniane atrybuty, lecz niech traktują swe koleżanki z całą winną płci niewieściej galanterii: jest w tym wszak radość życia, która potrafi o-promienić nawet tak ponure miejsce jak Urząd Skarbowy. Lecz uwaga, uwaga! Cała ta galanteria winna być podporządkowana względem na dobro instytucji: trzeba podać koleżance palto jeśli akurat stoi się przy wieszaku, lecz szkolidwa przesada jest zrywanie się w tym celu od biurka i gonienie przez cały lokal biurowy, przez co cierpi, o rozpacz, precyzja i szybkość roboty. Należy również przestrzedz szanowne panie przed wielce popularnym obrażaniem się na kolegów, którzy nie wykazują 100% szarmanterii. Biuro, moze pani, to nie salon, a życie nie jest romansem. Może pani takiemu kolezce nie posłać z zemsty ani jednej pocztówki znad morza treści: „Z krainy fał i słońca śle pozdrowienia Lilusia” — ale musi pani z nim utrzymywać stosunki zawodowe w całej pełni.

Następnym zagadnieniem wewnątrz-biurowym jest, czy w życiu towarzyskim biura tj. przy okazji imprez urzędniczych przez „kolegów między sobą” — mają brać udział obowiązkowo również rodziny kolegów — tj. żony, mężowie, narzeczeni itp., którzy we wspomnianym biurze nie pracują. Otóż przymusu nie ma. Jeśli panna Złutka (wybitna maszynistka Centrali Handlowej) urzędująca imiennie z udziałem pana Władzka, pana Stasia i pani Celinki (wszyscy z owej Centrali) — nie ma obowiązku zapraszania także pani Władzowej, pani Stasiowej oraz męża pani Celiny. Chyba, że te osoby są jej bliskimi znajomymi.

Urzędnicy i klienci

Pytanie: Co obowiązuje urzędników w stosunku do klientów? Odpowiedź: Urzędników w stosunku do klientów obowiązuje uprzejmość. Oczywiście nie uprzejmość w znaczeniu towarzyskim: urzędnik pocztowy stanowczo nie musi całować w rękę każdej pani kupującej u niego znaczek za 2 zł. Ale ma obowiązek względnie grzecznie poinformować ją, jak długo idzie paczka do Hong-Kongu, w którym okienku można odebrać na Poste Restante list pod szyfrem „Majola” i gdzie tu na poczek jest toaleta. Dopiero przy pletnastym zapytaniu można zaprzestać dawaania odpowiedzi, przy 27 zaś — można klienta (po trzykrotnym upomnieniu) lekko zwymusić przy użyciu wszelkie jedynie wyrazów cenzuralnych.

Ciąg dalszy za tydzień

ADAM HĄBŁOWSKI w Łowiczu. Mężczyzna w windzie zdejmując kapelusz gdy jedzie z kobietami, choćby nieznajomymi. Ale gdzie Pan w Łowiczu znalazł windę?

RYSOWAŁ: A. UNIECHOWSKI

WYSTAW

W E S T A W

[illegible]

na 14 milionów franków prze-
szedł do 1936 roku. Rastęsiąca
w tym czasie liczba muzeów
zadających oglądać
w 1937 roku wydano przeszło 1
miliard 300 mil. franków. Suma ta
zamierzająca się szybko w zwią-
ku z ożywieniem komunikacji, har-
du, przemysłu, wskutek napływu
milionów ludzi z całego świata
chających oprócz obejrzenia wyst-
wy, zwiedzić Paryż, poczynić róż-
nokupno i zabrać się
w Trójkątne przebudowanie pa-
ryskiej

Wielka wystawa paryska w 1900 r.
50 mil. zwiedzających. Mu-
francuskiej literatury współczesne
W Pawilonie Win Francuskie

Po lewej: Perystera i obelisk na wystawie w Nowym Jorku w 1939

18

Po lewej: Perystera i obelisk na wystawie w Nowym Jorku w 1939 r. U góry: wystawa paryska w roku 1900; na dalszym planie pałac Trocadero.

TU LEŻY JAN PANKRACY

DALE CARNEGIE PRZEŁOŻYŁA I STREŚCIŁA KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

W numerach 109 i 121 „Przekroju” zamieściliśmy fragmenty popularnej książki Carnegie’go. Jest to zbiór przepisów, jak postępować, by w życiu zdobyć powodzenie i szczęście. Poniżej drukujemy dalszą część tych wskazówek.

Pewne bostońskie pismo podało następujący wierszyk:
Tu leży Jan Inocenty, Pankracy,
co zmarł utrzymując, że na pewno ma rację.
I miał ją istotnie, bezwątpienia,
lecz dziś leży tak martwy, jakby jej nigdy nie miał

Dyskusja nigdy dla nikogo nie kończy się zwycięsko! Dale Carnegie popiera swe twierdzenie takim przykładem: „Byłem wówczas nagerem Sir Rossa Smitha, który w swoim czasie zadziwił świat, oblatując go do połowy w 30 dni. Był to pierwszy wypadek tego rodzaju i zrobił ogromną sensację. Ojczysta Rossa Australia ofiarowała mu 50 000 dolarów, król angielski — szlachectwo z tytułem „Sir”, i przez pewien czas był on brytyjskim Lindberghiem. Pewnego wieczoru brałem udział w bankiecie na cześć Sir Rossa, podczas którego jeden z gości opowiedział anegdotę, opartą na znanym powiedzeniu Szekspira. Opowiadający, cytując je, nadmienił, że jest to werset z Biblii; czułem się w obowiązku zaprzestować, mój rozmówca zaoponował, zaprzestowałem ponownie. Wówczas siedzący obok mnie Frank Gammond trącił mnie pod stołem i rzekł: „Carnegie, mylisz się pan: ten cytat jest istotnie z Pisma Świętego”. Zamilkłem osłupiały, a później zapytał Gammonda, dlaczego tak niespodzianie stanął po stronie nie mającego racji opowiadacza anegdoty. „Mój drogi”, odpowiedział, „byliśmy tam wszyscy gośćmi, z okazji radosnej uroczystości. Po co wogóle przekonywać kogoś, że nie ma racji? Czy zyska się przez to jego sympatię? Dlaczego dać mu odczuwać swą wyższość? Przecież on nikogo nie prosił o opinię, nie chciał jej wcale. Poco ta dyskusja? Lepiej zawsze unikać ostrych zakrętów”.

William Mac Adoo, podsekretarz stanu w gabinecie Woodrow Wilsona, oświadczył kiedyś publicznie, że w rezultacie wieloletniej kariery politycznej, doszedł do przekonania, iż „nie jest możliwe przekonać o czymkolwiek w dyskusji ignoranta”. Ignoranta? Panie wicepremierze, jest Pan zbyt pobłażliwy. Ja wiem z własnego doświadczenia, że NIKOGO nie można o niczym przekonać w dyskusji, jakkolwiek jest jego cenzus naukowy.

Weźmy przykład Fryderyka Parsonsa i jego dyskusji z inspektorem podatkowym. Dyskutowali przez godzinę nad sumą dziewięciu tysięcy dolarów. Parsons twierdził, że nie powinna ona być wcale opodatkowana, inspektor był przeciwnego zdania. Inspektor był arogancki, oschły i uparty, nie trafiały doń ani fakty, ani rozumowania, a im dłużej dyskutowali, tym się bardziej upierał. Wreszcie Parsons postanowił zmienić taktykę i przedmiot rozmowy, powiedział więc: „Przypuszczam, że sprawa łatwiejsza wydaje się Panu bardzo drobna w porównaniu do różnych ważnych decyzji, które Pan co dzień musi powziąć? Ja sam nieraz studiowałem kwestie podatkowe, ale studiowałem je z książek, podczas gdy Pan czerpał swoją wiedzę z żywego doświadczenia. Doprawdy, że pragnąłbym mieć takie stanowisko

jak Pańskie, ilużbym się nowych rzeczy nauczył!”. — W tym co powiedział nie było zresztą ani słowa przesady... Inspektor rozluźnił swą surowość, przybrał wygodniejszą pozę i począł gawędzić o różnych ciekawych wypadkach, jakie mu się trafiły w praktyce podatkowej, z nich przeszedł na zabawne figle swych dzieci, a kiedy się zęgnął, powiedział, że zastanowi się jeszcze nad danym problemem i nadeśle decyzję po paru

dniach. Istotnie, zjawił się w biurze po niejakiem czasie i oświadczył całkowitą swą zgodę na punkt widzenia Parsonsa.

Constant, kamerdyner Napoleona, nieraz grywał w bilard z Józefiną. W tonie 1-ym, na str. 73-iej swych „Wspomnień o życiu osobistym Napoleona” mówi: „Aczkolwiek byłem dość wprawny, pozwalałem zawsze by mnie pobili”, co jej sprawiło niezwykłą radość. Uczmy się od Constanta.

Buddha powiada: „Nienawiść nigdy nie kończy się za przyczyną nienawiści, ale za przyczyną miłości”, a nieporozumienie nigdy nie kończy się za pomocą dyskusji, ale za pomocą taktu, dyplomacji, pojednawczości i życzliwego podejścia do punktu widzenia strony przeciwnej.

Każdy pragnie aprobaty tych, z którymi ma do czynienia; pra-

gnie, by się poznano na jego wartości; pragnie uznania jego wagi w małym świecie, w którym się obraca. Nikt sobie nie życzy takiego, nieszczerego pochlebstwa; każdy chce szczerzego podziwu, obfitego i serdecznego, jak powiedział król stali Karol Schwab.

Miliony ludzi przepadają za powieściami Hall Caine’a. Był on synem kowala, do szkoły uczęszczał zaledwie przez osiem lat, a wszakże gdy umarł zostawił po sobie największy majątek jaki był kiedykolwiek zabrany przez literata. A początek jego znakomitej kariery był następujący:

Hall Caine przepadał za sonetami, wobec czego ślezczał i ślezczał nad sonetami znanego poety Daniego Gabriela Rosettiego, aż wreszcie napisał o nich pracę, którą posłał w kopii Rosettiemu wraz z uwielbiającym listem. Rosetti był zachwycony. Z pewnością powiedział sobie: „Młody człowiek, który mnie tak podziwiał, napewno sam także jest ogromnie zdolny”. Sławni wówczas Rosetti zaprosił syna kowala do Londynu i zrobił zeń swego sekretarza. Z tego to stanowiska, Hall Caine wypłynął na szerokie wody powodzenia. A przecież ani kłamał ani spodziewał się korzyści ze swego zupełnie szczerzego i spontanicznego kroku. Rosetti wszakże ze swej strony uważał siebie za kogoś bardzo ważnego, i w tym nie ma nic dziwnego, bowiem, my wszyscy uważamy siebie samych za ludzi bardzo ważnych i bardzo wartościowych. Nie tylko my — ludzie, ale my — narody.

Uważasz się za coś lepszego od Hindusa? Wolno ci to, ale miliony Hindusów uważają się za coś tak dalece lepszego od ciebie, że nie zechcą się splamić dotknięciem pożywienia, na które upadł — kalam — twoj obrzydliwy dla nich cień.

Napewno sądzisz, że Eskimos jest czymś daleko od siebie niższym? I to ci wolno. Ale czy chciałbyś wiedzieć, co sądzi o tobie Eskimos? Słuchaj więc: pośród Eskimosów istnieją również leniuchy, walkoni, paszożyty i ten właśnie gatunek Eskimosów ich współziomkowie nazywają obelżywie „białymi ludźmi”. Jest to u Eskimosów ostatnia polajanka. Każdy naród uważa się bowiem za lepszego od innych.

Spróbuj stosować zasadę wysokiego cenięcia bliźnich. Poco masz szukać daleko: wypróbuj ją w domu na żonie, która daleko musiała mieć kiedyś jakieś zalety, skoro ożeniłeś się z nią. Ileż czasu upłynęło, drogi czytelniku, odkąd ją za coś pochwalisz? Oto parę wyjątków z artykułu świetnej dziennikarki, Doroty Dix na ten temat:

„Jeśli nie potrafisz mówić rzeczy przyjemnych, nie żęń się. Chwalić swą przyszlą żonę przed ślubem jest miło, chwalić ją po ślubie jest niezbędne i stanowi warunek twego szczęścia. Małżeństwo — to pole popisu dla dyplomacji, nie dla otwartości... Jeśli pragniesz co dzień jeść smacznie nie gań sposobu, w jaki żona twoja prowadzi gospodarstwo i nie czyn porównań pomiędzy nią a twoją matką na niekorzyść małżonki. Przeciwnie, chwal zawsze jej metody i winszuj sobie głośno, że udało ci się ożenić z jedyną na świecie kombinacją Venus, Minerwy i kucharki. Jeśli bęsztyk będzie spalony na popiół, lub podobny do rzemienia, nie skarż się, lecz zauważ, że dziś obiadowi trochę brak zwykłej doskonałości. Jeśli tak będziesz postępować, żona gotowa będzie spłonać całopalnie na ołtarzu kuchennym, byle dorosnąć do twojego idealnego o niej wyobrażenia... Ale nie zaczynaj zbyt

TEATR NOGI I NIECHLUJSTWO

Prawdą jest, że nasz naród jest specjalnie uzdolniony do tańca. Wielu sławnych tancerzy pochodziło z Polski. Polką była primabalerina Opery jeszcze wówczas carskiej w Petersburgu — Krzesińska. Z Polski wywodziły się co najprędziej — gwiazdy słynnego baletu Diaghilewa: Nizyńska, Nizyńska, Wójcikowska, Jasińska.

Prawdą jest jednak również i to, że nigdy nie robiliśmy i nie robimy nic po temu, żeby otoczyć tancerzy należytą opieką, dać im wykształcenie zawodowe i dobre warunki pracy. Dlatego wynosili się i wynoszą z kraju. Dziś, kiedy tyle deklamuje się o postawieniu sztuki w Polsce na odpowiednim hierarchicznie miejscu, sprawa baletu jest zupełnie nieuregulowana, nawet nie rozważana, pozostawiona niechlujnie własnemu losom.

Powstańtu sporo zdolnych tancerzy zostało wywiezionych z Warszawy do Niemiec. Kiedy wojna skończyła się, utworzyli naprzeciw zespół i zaczęli objeżdżać zachodnią Europę. Nikt oczywiście nie zadbał o to, żeby się nim zaopiekować i ściągnąć ich z powrotem do Polski, nie więc dziwnego, że dziś wchodzi w skład „Anglo-polish ballets”, mają już bodaj wyrobione obywatelstwo angielskie i są dla nas straceni. Równocześnie wspomniany wyżej słynny Leon Wójcikowski, który jest w kraju, nie prowadzi — jakby można było się spodziewać — jakiegoś szkoły baletowej, gdyż nikt mu tego nie zaproponował. Tańczy po kabaretach nocnych, a przyzwyczajony w ogóle nie posiadamy i powojenny

narybek młodych tancerzy marnuje się, nie mając się gdzie kształcić.

Również po nocnych kabaretach tańczy przedwojenna primabalerina Opery Warszawskiej i Baletów Polskich, Stanisława Stanisławska. Podobno ta świetna tancerka klasyczna chce w ogóle zerwać z tańcem i założyć gabinet kosmetyczny, gdyż ma dosyć tłuczenia się po dancin-gach, a nie ma dla niej ani odpowiedniej sceny, ani estrady w kraju. Mamy w tej chwili tylko dwa gwiewielkie, zresztą dobre zespoły baletowe: przy Operze Poznańskiej — pod kierunkiem J. Kaplińskiego i przy Operze Śląskiej pod kierunkiem St. Miszczyka. Zespoły te jednak mają tak ograniczone budżety, iż nie są w stanie angażować tych wszystkich tancerzy, którzy winni by się w nich znaleźć.

Tak więc sprawa baletu przedstawia się u nas smutnie i tym jaśniej odbija na owym ponurym tle zespół baletowy, który się świeżo utworzył, a w którego skład weszła znana wszystkim doskonała tancerka Zizi Halama i holenderski tancerz, osiadły w Polsce — Jo Barrends (patrz okładka), oraz dawny solista Baletów Polskich — Zbigniew Kiliński. Literackim dopełnieniem zespołu będzie wykwinny znawca choreografii — Stefan Otwinowski, który będzie poprzedał produkcje tancerzy prelekami o tańcu, a także omawiał poszczególne numery programów.

Nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć tej poważnie zapowiadającej się imprezie tanecznej, wszystkim najlepszej.

J. Waldorff

„SZKARŁATNE RÓŻE”

Teatr Kameralny TUR w Krakowie wystawił komedię Benedetti’ego „Szkarłatne róże”. Jest to typowa komedia włoska, tyle płytka, ile dobrze skonstruowana i tyle blaha, ile zabawna. Trudno zresztą powiedzieć, czy byłaby coś warta w innej obsadzie, gdyż w danym wypadku stawia ją Kazimierz Szubert (patrz zdjęcie), który stwarza świetną postać starego kawalera, wycelowaną po mistrzowsku. Bardzo dobrą żoną, która zdradza swego męża z nieistniejącym kochankiem jest Jadwiga Baranówna, przekonująca młodym mężem — Mierzejewski. Warto obejrzeć to przedstawienie, jedno z lepszych w repertuarze ogórkowym. Afi



Czy wiesz co zrobić należy, aby kobiety kochały się w tobie tuzinami? Chętnie dam ci na to sposób. Przepis Doroty Dix, która pewnego razu uzyskała wywiad od 23-krotnego bigamisty, a więc kogoś, kto zdobył serca i posagi aż dwudziestu trzech kobiet. Kiedy spytała go o receptę rozkochiwania kobiet, odpowiedział: to żadna sztuka, trzeba po prostu każdej kobiecie mówić o niej samej. Technika zresztą, jeśli chodzi o mężczyzn, jest zupełnie ta sama.

— Jak pan możesz puszczać psa wolno — zawołał groźnie — wszak wiesz pan dobrze, że to jest wzbronione?

— Myślałeś pan — burknął policjant. — Tu, panie, trzeba słuchać przepisów, a nie myśleć. Tym razem panu daruję, ale za następnym pójdziesz pan pod sąd.

— Panie władzo, złapał mnie pan na gorącym uczynku. Nie mam alibi ani usprawiedliwienia. Pan mnie uprzedził w zeszłym tygodniu i jestem gotów zapłacić karę.

— Wiem ja dobrze — odpowiedział policjant dość łagodnie — jaka to pokusa spuścić psa ze smyczy, żeby sobie pobiegał, kiedy nikt nie widzi.

— Taki mały psiak — perswadował policjant — nikomu i tak nic nie zrobi.

— No, no, — powiedział po oj-
cowsku policjant — bierze pan to
troche za nadto serio. Wie Pan co,

niech Pan go zaprowadzi tam, za ten pagórek, żebym go nie mógł zobaczyć, i zapomnijmy o tem, co zaszło.

Niby dziw nad dziwy, a właściwie rzecz prosta jak parasol: policjantowi chodziło o jego własne dobre o sobie mniemanie: w pierwszym wypadku uzyskał je przez okazanie autorytetu, w drugim, gdy go zaskoczyłem przyznaniem się do winy, przez okazanie wspólniałości. Mów zawsze, skoro cię wykryto i skoro na prawdę jesteś winien, jak najgorsze rzeczy o sobie samym, nie czekając aż ci je zasueruje twój przeciwnik. -- W ten sposób ujmiesz mu wiatru z żagli i masz 100% szans, że będzie wolał zająć stanowisko wspólniałości.

DALE CARNEGIE
przełożyła i streściła
KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

OD WŁASNEGO KORESPONDENTA „PRZĘKROJU”



Ewa Peron, po przyjeździe do Rzymu, udziela wywiadów dziennikarzom w pałacu ambasady argentyńskiej



W Madrycie, pani Peronowa [po lewej] występowała stałe w towarzystwie gen. Franco i jego żony

„Wiadomo nam, iż nie jest to osoba nieskazitelnej opinii, owa żona najwyższego dostojnika w państwie, którego rzecim nie całkiem jest zgodny z naszymi pojęciami o demokracji. Niemniej jednak potrzebujemy mięsa wołowego, bardzo dużo mięsa. Dlatego też byłoby prawdopodobnie niewskazane czynić prezydentowej niepotrzebne despekty“.

(„Daily Mail“ — London)

Eva Duarte de Peron, dawna ekspedientka, artystka filmowa, a od grudnia 1945 żona generała o dyktatorskich zapędach, prezydenta Argentyny, wybrała się w podróż po Europie.

Nielada był to évenement. Pierwsza podróż młodej prezydentowej. Pierwsza podróż w wielkim stylu, pierwsza wycieczka poza Argentynę. Europa: Włochy, Francja, Hiszpania, może i Anglia... Teoretycznie, podróż pięknej Evity pomyślana była jako ściśle prywatna. Ale w praktyce, jakże tu w zbiedniałej, wygłodzonej zachodniej Europie zapamiętać było, że do jej portów coraz to zawijają statki pod biało-niebieską banderą, z argentyńskim żwozem i argentyńskim mrozoymymieciem.

Cóż dopiero mówić o Hiszpanii generała Franco (wspólny język i skłonności polityczne), albo o Włoszech, zależnych jak nikt inny od argentyńskiej pszenicy i oczekujących niecierpliwie argentyńskich wiz imigracyjnych dla setek tysięcy bezrobotnych przeludnionego półwyspu!

Czy we własnej ojczyźnie młoda pani Peronowa (27 lat według przyjaciół, 35 wedle wrogów) jest popularna? O ile arystokratyczne panie z Buenos Aires nie szczerzą złośliwych uszułki co do jej przeszłości, o tyle lud prosty odnosi się do niej raczej z sympatią. Miliony ubogich dżelcząt marzą o podobnej karierze Kocpluchusa z Gęsi. Właśnie dlatego Peronowa jest także założycielką fundacji i instytucji społecznych, które prezydentowa założyła i którym z wielką reklamą patronuje.

GAFFA W MADRYCIE

Już przy wyjściu okazało się, że Ewa Peron lubi występować. Okazało. Zaczęła jej się odbyć podróż do Europy na pancerniku. Cóż, kiedy Argentyna nie posłada ani jednego przyzwoitego nowszego pancernika! Prezydent małżonkę uwał jej tedy do dyspozycji najnowszejszy 13-tonny tycielno-tonnowy krążownik „Rivadavia”. Gdy jednak przystapiono do ustalenia składu świty, okazało się że nawet potężny ten statek nie zdoła pomieścić dygnitarzy (wraz z żonami i liczną służbą), którzy z urzędu przypadał zaszczyt towarzyszenia pani Peron. Wobec tego prezydentowa zrezygnowała ze świty i — by nikogo nie obrazić — zdecydowała, że pojedzie samolotem i to sama, tylko ze służbą. Pojechało trzydziście osób.

W Madrycie general Franco zarządził cały szereg galowych przedstawień i innych więcej lub mniej spontanicznych manifestacji. Uniesiona krasomówczym fermentem zaczęła pani Peronowa sławić

dwa wielkie kraje, które potrafiły stworzyć „prawdziwą demokrację, demokrację dystrybucyjną (sic!) o tyle wyższą od zgniłych, bezwolnych, antydynamicznych innych demokracji europejskich”.

Hiszpanie słuchali zdumieni tych wywodów, ale że z racji wizyty prezydentowej wydano na kartki nieco więcej cukru i po pół litra wina, przeto krzyczano „Arrriba!”, a pani Peronowa salutowała falangistów faszystowskim ukłonem i była wielce z siebie zadowolona.

WYDATY I ZAMIESZANIA

Na przyjazd swej prezydentowej do Rzymu, Ambasciata argentyńska wystąpiła wspaniale. Na zamówienie niego, było wspaniale przyczynić się do uświetnienia uroczystości. Na tydzień naprzód rozesłano darmo tysiące egzemplarzy propagandowej broszury bogato ilustrowanej, z panią Peron w siedmiu różnych pozach. Rozdawano szkolom i sierotom papierowe chorągiewki o argentyńskich barwach. Wypuszczono specjalną odznakę, z białą gwiazdą prezydentowej pomiędzy chorągiewkami Włoch i Argentyny. Wreszcie w dzień przyjazdu wynajęto 40 auto-pullmanów, aby zawieźć na lotnisko tysiące, członków Towarzystwa Włosko-Argentyńskiego, delegację etc. Praktycznie ślad, że kto chciał, Po nas, dziennikarzy, przysłało parę maszyn ambascady.

Na lotnisku tłok niesamowity. Coraz to częściej, spośród urzędników i tłumy kordony spychając ciępliwym tłum. Około 18-tej Jędrzejewski minister spraw zagranicznych Włoch hr. Sforza i żona premiera, pani de Gasperi z bukieciem. Słońce paliło. O w pół do ósmej nie było jeszcze śladu prezydenckiego samolotu „Douglas”. Z dyplomatów obecni byli tylko argentyńscy i hiszpańscy, odcierający pot z czoła. Sforza, starszy, mało nie zemdał.

Wreszcie w parę minut po ósmej czteromotorowy samolot wydławał. Powoli, wśród hymnów, zesła Evita Duarte. Wszyscy wstali, nie jęli ławą i widzowie z kinoteatru mieli na niej Włoską służbę porządkową, jak zwykle nie zdała egzaminu Wystraszona wytrzymała przesyłająca rzucała się ku wyjściu z lotniska. W pewnej chwili cisnąc się tułm wepchnął ją w naszą grupkę i znalazłem się ścisknięty jak sandwicz między hr. Sforzą a dostojnym gościem. Uśmiechała się do mnie dość nieprzytomnie, powtarzając „Muchas gracias” (serdecznie dziękuję). Z trudem wielkim odpowiadaliśmy plectą panią do samochodu. Tymczasem w zamieszaniu karabinierzy wyszuchali

ambasadora argentyńskiego, który najgłośniejszy krzyczał (oczywiście skąd mógł wiedzieć, że to ambasador?) i wnet korowód kilkunastu świetnych, lśniących limuzyn ruszył w stronę Rzymu starożytną via Appia, wśród grupek zaciekaawionych robotników, wracających z pracy, i machających chusteczkami dzieci rzymskich przedmieść.

Na placu del Esquinillo, przed ambasadą argentyńską, tłum kilkuset ciekawych urządził prezydentowej owacje. Podnieceni Włosi na wysięgi pokrzykiwali: „Evviva Peron! Evviva la bella signora!” skandując od czasu do czasu rytmicznie: „Evviva Evita!!!” Ale cały ten piękny entuzjazm popsuło kilku Hiszpanów, którzy ze znaczkami falangistów w kłapach wdrapali się na dach jakiegosi budynku, wystrzeliując faszystowskie ukłony. „Jeli dżyste co jeli... Evviva Franco!” To wystarczyło. W mgnięniu oka wiwaty zamieniły się na gwizdy i krzyk oburzenia. Życzliwość znikła. Krzyczano teraz: „Precz z Franco! Precz z faszyzmem!” Zdumiona pani Peronowa zamilkł poprzecznych „Evviva” słysząca teraz wrogie okrzyki, porównywalące ją do kochanki Mussoliniego. Klary Petacci i inne niepochebne wyzwały Włoską panią prośbami i interwencjami. Zły tłum opanało namiętność. Rozsierdzeni tłum opłut awia dyplomatów argentyńskich. Skończyło się wielką kompromitacją.

„SCHUDŁAM O DZIESIĘĆ KILO...”

Nazajutrz ambasada i rząd włoski uczyniły wszystko, aby zatrzeć niemiłe incydenty. Dla prezydentowej wydano szereg przyjęć wielce wspaniałych. Sam prezydent de Nicola (klnąc zapewne w duchu), przerwał swe wakacje letnie w willi pod Neapolem i przybył do rozpalonego Kyzmu, by przewodniczyć w bankietach. Przez dwa tygodnie bezustannie obwożono Evitę po całej Italii. Mediolan, Florencja, Wenecja, Garda, Como, Portofino, Rapallo, San Remo. wszędzie przyjęcia, mowy, powitania, uroczystości. Zmęczona, zbiedziona, oszolomiona nadmiarem wrażeń, prezydentowa wróciła do Rzymu, marząc już tylko o wypoczynku. Czyż nie, którymś z tych dni, przed wyjazdem, udało mi się doznać do niej, aby spytać o wrażenia, odpowiedziała: „Najśliczniejszym przeżyciem była dla mnie wizyta u Papieża. Chciałabym jeszcze poznać Neapol i południe Włoch, ale już naprawdę nie mam sił. Czy pan wie, że schudłam o 10 kilo przez te dwa tygodnie?”

Przed wyjazdem nie zaniedbała efek-
townej interwencji w policji, aby wy-
puszczono owych manifestantów zatrzy-
manych w dniu jej przyjazdu „za nie-
przystojne zachowanie się przed amba-
sada”. Ale dopiero gdy srebrny cztero-
motorowy Douglas oderwał się od ziemi
włoskiej by powieść nadobną prezy-
denta wraź z całym jej dworem do
Lizbony, prefekt policji i wszyscy mini-
strowie zgodnym ruchem otarli pot z
czoła, oddychając z ulgą. Mogli teraz
spokojnie powiedzieć do swych przerwa-
nych urlopów, oczekując na przyrzecz-
ną arsyntetyczną pożyczkę.

W A L E X A N D E R

STEFANIA GRODZIŃSKA

WAZON

Od Cioci Heli

FELIETONOWELA

STRESZCZENIE POPRZED-NICH ODCINKÓW: Maciupscy oczekują przyjazdu cioci Heli, od której zależy posada ich córki. Nagle przypominają sobie z przerażeniem, że japoński wazon, który od niej niegdyś otrzymali, ofiarowali Pichelkowskim. W obawie, że ciocia Hela się obrazi, postanawiają za wszelką cenę odebrać od Pichelkowskich wazon. W tym celu opowiadają im zmyśloną historię o kolekcjonerze wazonów, który jakoby przyjechał z zagranicy i poszukuje właśnie tego japońskiego wazonu. Pichelkowsy wazon zwracają, ale potem interpretują historię Maciupskich na swój sposób. Tymczasem odzyskany wazon tajemniczo znika z mieszkania Maciupskich. Miasto huczy na ten temat.

— Laluniu, wychodzisz? Czekaj chwilę, możemy iść razem — zawołał mąż Laluni, wkładając marynarkę.
— Doskonale. Tylko w takim razie przebiórę kapelusz. Wiozę ten granatowy, bo ty go najwięcej lubisz. O, tak. No, idziemy.

Co powiedziaławszy, Lalunia spojrziała w lustro zmruczonymi oczami i zdjęła szalik.
— Wiozę czerwony szalik. Do tego kapelusza nie pasuje żółty.

— Dobrze, wioż czerwony. Chodźmy już.
— Już idę. Specjalnie kładę kapelusz, który ty lubisz, a ty się niecierpliwisz. No, możemy iść.

Lalunia wzięła torebkę i zrobiła parę kroków w stronę przedpokoju. Nagle zawróciła, spojrziała w lustro z lotu ptaka i zdjęła pantofle.

— Co ty robisz! Chodź już! Idę, idę. Dobrze, że spojrzalam w lustro. Byłabym wyszła w tych pantoflach i w tym kapeluszu! Jak nieprzytomna. Wiozę te nowe pantofle. O, tak. No, chodźmy!

Wzięła torebkę, skierowała się do wyjścia, nagle stanęła z zamyśleniem w oczach.
— Naturalnie. Żółta torba do tego kapelusza. Jak wariatka. Czekaj, zmienię torbę.

— Moja kochana, to może ja już pójdę. I tak ja idę na posiedzenie, a ty do miasta...

— Oszalałaś! Teraz, kiedy specjalnie włożyłam ten kapelusz, który ty lubisz — naczyn zaczął decydować, że na mnie nie czekasz. Przecież sam powiedziałeś, że możemy razem wyjść i zębym zaczekała.

— Kiedy to powiedziałem, byłaś zupełnie gotowa do wyjścia, a ja bez marynarki. Więc prosiłem, żebyś czekała.

— Przecież czekam. Chciałam ci sprawić przyjemność i włożyłam specjalnie dla ciebie ten kapelusz, ale ty tego w ogóle nie zauważyłaś. Teraz czekaj, aż zmienię torbę.

Lalunia systematycznie przelożyła osiemnaście drobnych przedmiotów z jednej torby do drugiej i skierowała się w stronę wyjścia. Zawahała się przez chwilę, wróciła, spojrziała w lustro, zamykając lewe oko i szybko zdjęła suknie.

— Wiesz, że ja chyba przytomność straciłam z tego pośpiechu. Ta suknia do tego kapelusza! Po ulicy byś za mną biegła. Tylko którą wiożesz?

Lalunia otworzyła szafę, powiesiła suknię i skupiła się.

— Ta byłaby najlepsza, ale jest za krótka. Ta pękła pod pachą. Może ta? Prawda, kolnierzyk nie przyszyty. Zaczekasz, aż przyszyję kolnierzyk?

— Nie czekam, aż przyszyję kolnierzyk — odpowiedział mąż Laluni.

— Nie, to nie. Tej nie mogę, bo pasek zginał. Wiesz, to już chyba ta będzie najmóżliwsza.

Lalunia wyciągnęła z szafy suknię, którą przed chwilą zdjęła z siebie i włożyła ją na siebie z powrotem.

— No chodź, na co czekasz. Ja jestem gotowa.

Wzięła torebkę, dotarła do samych drzwi, zawróciła, szybko podeszła do lustra i spoj-



— Dopiero teraz portret będzie podobny!

(Kamyczek)

FRASZKA Z MOKALEM

NA TEŚCIOWA

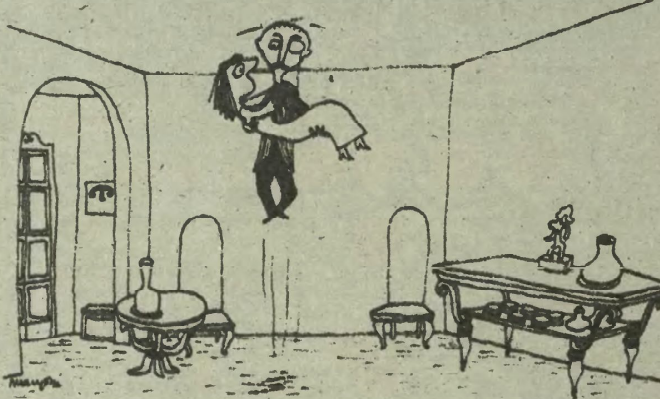
Starca dwa słowa:

Brrrr... teściowa!

Moral tej historii poważnej jest treści:

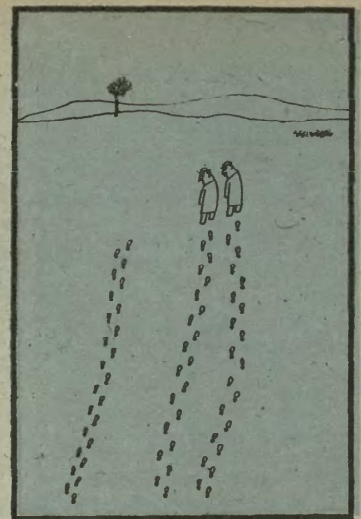
że nieraz w małym zdaniu wielka myśl się mieści.

Z poważaniem KAROL SZPAŁSKI



(„Bertoldo” — rys. Manzoni)

— Wybacz, beronie, że pocisnąłem guzik od twojej kamizelki: zdawało mi się że jesteśmy w windzie.



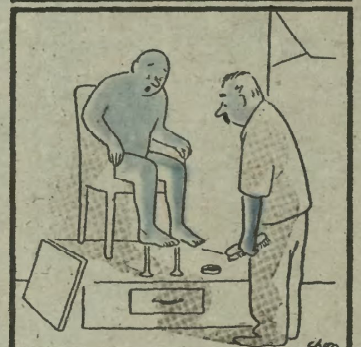
— Powiedziałam nie, i koniec!

(„New Yorker”)



— Możemyśmy połączyć nasze wynalazki?

(„Collier's”)



— Rzeczywiście! Zapomniałem włożyć buty!

(„The Saturday Evening Post”)

rzała w nie z pode łba

— Wszystko w porządku, tylko ten kapelusz pasuje całoc! Pójdę bez kapelusza — zdecydowała w ciągu sekundy, zdjęła kapelusz, poprawiła włosy i zeszła na dół, gdzie już czekał mąż.

— Widzisz, już jestem gotowa. Idziesz na posiedzenie?

— Tak.

— Jaka szkoda! Bo ja idę w drugą stronę. Dowiedzenia, kochanie, pa, pa!

I pożegnawszy męża, Lalunia weszła do sklepu.

— Poproszę o tę niebieską żorzetę z wystawy. Ile kosztuje? Co? Tak drogo?

— Będzie jeszcze drożej, proszę pani. Niech pani bierze, bo wszystkie zdrojeje.

— Dlaczego?

— Pani nic nie słyszała? To w związku z tym wazonem. Jak ten wazon znikł, proszę pani, to zapanował straszny kryzys. Kwestia zaufania do naszej waluty. Ludzie na gwałt pozbywają się złotych i wszystko zakupują.

— Ale co to ma wspólnego

z wazonem?

— Ja pani dokładnie nie potrafię wytłumaczyć, bo kto się tam pozna na naszej polityce zagranicznej! Ale mówią, że w emesecie straszna panika, bo Londyn ma protestować przeciw zniknięciu tego wazonu. Więc niech się pani nie targuje, tylko bierze tę żorzetę.

Lalunia lekko przybladła, ku pła sześć metrów żorzetę zamiast trzech, poegnała się i wyszła ze sklepu. Na ulicy natknęła się na jedną ze swych przyjaciółek.

— Jak się masz, Dziuba! — zawołała — słyszałaś, co za historia z powodu zniknięcia tego wazonu?

— Okropność — westchnęła Dziuba — mało mieli tych wojen, znowu zaczynają.

— Wojna z powodu tego wazonu?

— To nie jest powód, tylko pretekst. Tak jak Serajewo. A co ty myślała, że to tak gładko przejdzie? Ni z tego ni z owego znika człowiek, który przyjechał w tajnej misji z Lon-

dynu. Myślałaś, że oni się nie upomną o swego obywatela?

— Ale przecież to był Polak!

Specjalnie tak mówili, żeby nie zwrócić na niego ogólnej uwagi.

— I to nie on zginął, tylko wazon!

— Wazon swoją drogą, ale ci sami, którzy sprzątnęli wazon, postarali się usunąć tego Anglika. Zobaczysz, że lada dzień zaaresztują tych Paciupskich, u których był wazon.

— Maciupskich?

— Wszystkie jedno. Fakt, że ich zaaresztują. Zaczynają się aresztowania na wielką skalę. Wedługbrońsi siedzi...

— Słyszałam, że to Komisja Specjalna.

— Tak się mówi. On znalazł o sobiście tych Paciupskich, to wystarczy. Co masz w tej paczce?

— Kupiłam żorzetę, wsko-

czę do „Ma-Ra-Bu” i dam od razu do szycia. Dzielnie! Miałam dać w przyszłym tygodniu, ale jeśli ma być wojna...

Pani „Ma-Ra-Bu” przywita-

ła Lalunię z rozradowaniem,

bo była zajęta rozmową z inną klientką.

— Ależ proszę pani — klarowała klientka — musi pani taniej policzyć, dolar leci na łeb na szyję! Skarb państwa przejął ten wazon i ukryte w nim wskazówki, gdzie leżą worki ze złotem. Mój szwagier pracuje w K.K.O., nie ma pani pojęcia, co tam się dzieje. Ludzie się rzucili na naszą walutę, co za wzrost naszych wpływów w świecie! A pani liczy za komplet, jak dawniej?

— Więc z wojną, nieprawda? — wtrąciła nieśmiało Lalunia.

— Prawda, oczywiście, że prawda. Już się w to wtrącił rząd obcego mocarstwa. Wojna będzie w każdym razie. Ci Maciupkiewiczowie, u których był wazon, to agenci właśnie tego mocarstwa.

— Aresztowani — powiedziała dumnie Lalunia.

— Aresztowani?! — krzyknęła klientka. — A co, nie mówiłam, że przewróci?

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ.

MOTTO:

Pewien wybitny literat, który wkrótce potem również wyjechał zagranicę i zajął się dyplomacją, wymyślał ongiś kobietę słowami: „ty wietrzna istoto” i miał rację. Kobieta bowiem jest jak wiatr: natychmiast po zachodzie słońca zrywa się i wieje zaleźnie od warunków atmosferycznych albo na garden-party albo na dancing w zamkniętym lokalu. Oto suknie, w których nasze uroczne trąby powietrzne wirują w modnych tańcach i podrygach obecnego sezonu.

„Nad pięknym modym fokstrotom” — suknie z jedwabiu, wyzywająca ciekawość, obramowanie słonka i szerokie wolany z niebieskiej torzeły. Wewnątrz: znana angielska gwiazda Ann Todd. Suknia filmy Glenny

„Boogie-woogie czas zacząć...” (u dołu) — suknie na garden-party (czyli. garden-party) w deseń z liści z kokardą u boku i z modnym dekoltem na bakier (Model Bruyère)

KONKURS DZIAŁU MODY



Nagrodę 1000 zł. otrzymuje w bież. tygodniu p. ALFREDA MICHELINI w Łodzi.
Szlafrok własnoręcznie wyczarowany z chustek tureckich, krój kimonowy



z tygodnika
„PRZEKRÓJ”

exp:
K.J. Gaczyński

Szanowny Panie Redaktorze!

POLSKA JEST MODNA

„Atrakcją narodów jesteś i natchnieniem”. Tak, a nie inaczej stoi u Słowackiego w pierwszym brulionie „Grobu Agamemnona”. Dopiero, jak wiadomo, potem biedny Jul, bo coś go zdenerwowało, zmienił na papugę i pawia. Powyższe wiem od prof. Juliusza Kleinera, któremu np. we wrześniu br. będę miał zaszczyt złożyć w Lublinie moje poetyckie listy (z Fijolkiem) uwierzytelniające, po czym nastąpi moje uroczyste wystąpienie przed Publicznością lubelską. Ale, Panie Redaktorze, nie o tym chciałem mówić. Są ważniejsze rzeczy, a mianowicie np. to, że Polska robi się modna i my razem z nią. Hermenegilda Kociubińska twierdzi wprawdzie, że przed wojną też przyjeżdżali do nas zagranicznicy, ale, pytam się Pana Redaktora, kto przyjeżdżał przed wojną? Sentymentalny (jałowy) polonofil, etnolog, albo bracia Adamowicz. Dziś natomiast walą do nas takie tłumy, że po prostu ci faceci nie mogą sobie dać rady na granicy! Dziennikarze, bibliotekarze, skrzypaczki, barytony, kupcy, kardynałowie, nauczyciele języków obcych, wynalazcy tańszych prądów literackich, którzy (bidule!) nie mogą nabrać na wspomniane prądy ojczyzn własnych — wszystko to, proszę Pana Redaktora, wali do naszej wioski, jedni, żeby się najeść, drudzy, żeby coś podpatrzeć, trzeci znowu, żeby coś niecoś kupić i do domciu zawieźć. Nam tylko teraz szosy i hotele budować, a żyłoby się z samego turysty. Hasło: LEPSZY TURYZM NIZ FUTURYZM. A jeśli Pan, Panie Redaktorze, zapyta mnie, czemu obecnie zagranicznicy tak masowo na naszą wieś przyjeżdżają, odpowiem: dla interesu. A co to jest interes? Interes to jest sentyment obustronnie zorganizowany i rozsądny, czyli celowy i wykonalny. Grunt tylko, żeby nas z tego Krakowa, z tej Centralnej Produkcji Kultury, tak masowo do tej Warszawy nie przenosili. Bo, ja rozumiem, że Warszawa geopolitycznie jest dziś lepiej sytuowana, niż niejeden Londyn i Paryż, ale w Krakowie znowu mamy lepsze warunki do rzetelnej roboty, a najważniejsze to chyba jakość roboty, czyli, żeby ten wytwórca czuł się pierwszorzędnym w swojej pracowni. Nes pa?

CO POD ROZWAGĘ PODDAJĄC
[NA DŁUGO,
KRESŁĘ SIĘ PANA UNIŻONYM
[SŁUGA:

Karakuliambro



KACIK FILATELISTYCZNY

AUSTRIACKIE ZNACZKI NA
POMOC ARTYSTOM. W zwię-
zku z Pierwszą Wystawą Sztu-
ki" w Wiedniu, wydano w Au-
striali dobroczynną serię na po-
moc artystom. Seria ta wyko-
nana szyćchem według projek-
tów art. Schromma obejmuje
na 10 znaczków o wartości od
3-60 gr. reprodukcje najslaw-
niejszych austriackich zabyt-
ków architektury, malarstwa i
rzeźby.
St. Mikstein

PLYN
KLAWIOL
Ap. KOWALSKI
usuwa **ODCISKI**
SKÓRĘ ZGRUBIAŁĄ
i BRODAWKI

ŁYSI

ENIE. Przedwójenny, cholesteryno-
wy R. Capill można przyrządzić
w domu, zamawiając 99% Ekstrakt
R. Capill CH do rozpuszczania
w wodce. R. Capill wywołuje po-
rost po 3 dniach, usuwa łupież,
tłustość, swędzenie, trądzik, placki, łysinę.
Tysiące podzięk. Gotówkę nadesłać z góry prze-
kazem, lub listem poleconym. Cenę: 1 pak. 225,
2 — 345, 3 — 435, 5 — 585 zł z przepis. Za przes.
25 zł. Adresować: Warsz. Firma B. Matulewicz,
Radom 1 skr. poczt. Nr 44

SPORT



Stała się dziwna rzecz. Antyferminalci, mizan-
tropi, orędownicy życia samotnego pochowali się
do myśli dziur. Wstyd im było spojrzeć w oczy
ludziom, kiedy publicznie, wobec kilku tysięcy
świadków, udowodniono im, że potępienie
w czambuł stadła maitzenkiego nie ma zgola
podstaw. Pojedynkę piłkarski dwóch teamów,
złożonych z graczy Cracovii i Wisły: „Czarnych“
(żonaty) i „Białych“ (kawalerów z włankami
na głowach) — wykazał bezwzględnie wyższość
żonkosiów, którzy zwyciężyli drugącoją w st.
8:2. Dla niepoznaki i zmylenia czujności żonaci
wyjechali na boisko z wózkami dziecięcymi.
zgarbieni i na pozór przybici. Ale zaraz po
gwizdaku zaczęli szaty obłudy i przegwoździli
niewinnych ostrym tempem. — Oto gdzie kry-
nica sił żywotnych, wytrwałości i spokoju ducha
oraz (co ważniejsze) ciała: małżeństwo! Vivent
les femmes!

Boję się, że po tym wszystkim mocno oberwę
od setek tysięcy zawiedzionych mężów. Top.



W rezultacie ostatnich rozgrywek o wejście
do ekstraklasy, na czoło wszystkich trzech
grup wysunęły się drużyny warszawskie. Z waż-
niejszych (poza) — Polonia (Warszawa) 4:2;
3:1; KKS (Poznań) — Polonia (Warszawa) 4:2;
AKS — Rymar 6:0; Orzeł — RKS 4:2; Cracovia —
Grochów 3:1. — Bydgoszcz: Wioślarskie mi-
strzostwa Polski przyniosły tytuły mistrzów dru-
żynom pomorskim. W jedynkach panów zwycię-
żył Veray — w jedynkach pań Dowgird. — Praga:
Jędrzejowska została wicemistrzynią Czechosło-
wacji w tenisie, ulegając w finale Kermeczy.

RICHARD SCHWEIZER

OSTATNIA SZANSA

Sukces tej książki (i filmu według niej skom-
ponowanego) sięga daleko poza granice Szwaj-
carii. Jej wielką wartością jest bogactwo we-
wnętrznego życia bohaterów i dramat psycholo-
giczny, który czytelnika trzyma w niezwykłym
napieciu

WESELINA GENOWSKA

SZKLANE MURY

Bułgarska autorka daje nam w tej ciekawej po-
wieści pasjonujący obraz zmagania młodej dziew-
czyny z otaczającą ją atmosferą „mieszczanstwa“

WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

MGLE NAD SKALDĄ

Pogodna książka o sprawach prostych, lecz peł-
nych uroku. Przygody Mistrza Ambrożego, 2a-
keliny i Pawła we Flandrii, ich perypetie miło-
sne, bawią nas jak najlepszy rozrywkowy film
Ządać we wszystkich księgarniach — AWIR



Od pół wieku znane!

PROSZEK

SUDORYN

PLYN

SUDOR

USUWAJĄ POT

NIEMIŁĄ WOŃ

Ap. KOWALSKI

Zębny czyści najlepiej

PASTA

IDIENS

Warszawskiego Laboratorium
Chemicznego Sp. Ak.

Do nabycia we wszystkich większych
perfumeriach i składach aptecznych

Jednakowo dobre
OD ROKU
1910
BUDYNIE
PRZYPRAWY do CIAST
ZUPY-BULION
STROJWAS

LEDA

NOWE POMADKI DO UST



AUTOMATY - NIEZRÓWNA W ŚWIECIE!

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ.
WYD. „CZYTELNIK“

REDAKCJA: KRAKÓW, PIŁSUDSKIEGO 19a (GODZ. 12-14) TELEFON 559-54
RED. WARSZAWSKA: DĄBŹSKIEGO 14, POK. 217 (GODZ. 13-15) TEL. 879-36
ADMINISTRACJA: KRAKÓW, WIELOPOLE 1. TELEFON 545-60, -61, -62

ŁĄCZONO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

CZY-
TELNIK

„SAMOCHWAŁA W KĄCIE STAŁA„

W ramach z rozmachem prowadzonej akcji marnowania papieru, „Film Polski” wydał w luksusowej formie, na 112 stronach, ze 142 zdjęciami, katalog swej produkcji w okresie 1943–1946 r. Dowiadujemy się z niego, że wyprodukowaliśmy w tym czasie łącznie 149 filmów pełno, średnio- i krótkometrażowych, na taśmę ogólnie długości 54458 metrów. — Cóż z tego, skoro z całej owej produkcji zasługują na uwagę tylko coraz lepiej robione kroniki filmowe i dwie, czy trzy średniometrażówki. Resztą nie warto się tak znów chwalić. Więc po co było wydawać z takim szumem katalog? Lepiej było spisać go sobie na paru kartkach papieru dla wewnętrznego użytku. Na publiczne pochwały przyjdzie czas, w co nie wątpimy, ale trzeba czekać, aż te pochwały napłyną od zewnątrz, nie zaś chwalić się samemu. Zakazanie rękawy i badźcie skromni — to w każdym razie będzie się wam chwalić. Afi.

BARDZO DOBRE



Bracia Sullivan, tak jak wyglądali przed wyruszeniem na wojnę

Film produkcji amerykańskiej

PIĘCIU ZUCHÓW. — Pierwszy film amerykański wielkiej klasy. Przynajmniej pierwszy z tych, które dotychczas oglądaliśmy. Opowiada historię pięciu chłopców, od ich chrztu, poprzez dzieciństwo i młodość, aż do wspólnej żołnierskiej śmierci na okręcie wojennym, w bitwie z flotą japońską na Pacyfiku. Celem filmu jest pokazanie prostego bohaterstwa nie tylko żołnierzy amerykańskich, ale w ogóle ludzi w USA podczas wojny. Rodzina Sullivanów nie zalamuje się, dowiedziawszy się o utracie naraz pięciu synów. Ojciec poległych nie przerywa swej pracy konduktora kolejowego ani na chwilę, choć tak bardzo kochał swych chłopców i tak niezmiennie cierpi, dowiedziawszy się o ich śmierci. Wszystko to pokazane jest w niezwykle dyskretny, prosty i jednocześnie doskonale artystyczny sposób. Film, będący jednym z celniejszych osiągnięć kinematografii, reżyserował Llyod Bacon. Nazwisko to nic nam nie mówi, ale po „Zuchach” warto je zapamiętać. JYP.

BARDZO PIĘKNE

Film produkcji szwedzkiej

PLONĄCA ŻAGIEW. — Historia osnuta na tle szwedzkiego buntu chłopów przeciwko państwu.

czyźnie, w drugiej połowie XVIII wieku. Jest w tym filmie trudna do sprecyzowania powolność rytmiczna i jest chłodna atmosfera legend opowiadanych w zimowe wieczory przy kominku, co razem przypomina powieści Selmy Lagerlöf, czy Sygrydy Undset. Bardzo piękny jest ten film — to chyba najlepsze dla niego określenie. Jest świetnie grany, został świetnie sfotografowany i tylko wrażenie z całości trochę psuje propagandowe zakończenie, ideologicznie słuszne, lecz artystycznie odbijające od reszty obrazu. Miło nam, że po „Złecaniu” w poprzednim numerze szmrowatego „Wesołego pensjonatu” możemy znów pochwalić produkcję szwedzką. B-cia Rojek

BARDZO ZABAWNE

Film produkcji radzieckiej

KNOCK — OUT. Jest to sfilmowana pochwała zdrowia i sprawności fizycznej. Przez ekran przewijają się korowodem potężne bicepsy i torsy młodych ludzi, którzy dzięki nieustannym ćwiczeniom i treningom dochodzą do doskonałości ciała. Połowę metrażu zajmuje uprawianie boksu; wiele miejsca — i słusznie — udzielono monumentalnym pokazom gier sportowych, propagującym wychowanie fizyczne. Akcja toczy się przeważnie na zalanych stołcem stadionach, sytuacje zmieniają się szybko wśród śmiesznych „qui-pro-quo”, wplecionych w romans młodego boksera i mistrzyni gimnastyki. Przyjemna ilustracja muzyczna i piosenki stwarzają dobrze dostosowane tło do treści tego udanego i zabawnego filmu. Ziem.

ZAKAZANE PIOSENKI nr. 2 i 3



Scena z filmu „Ulica Graniczna”

Otrzymałmy pierwsze zdjęcia z nowego długometrażowego filmu polskiego pt. „Ulica Graniczna”, nakręcanego przez reżysera Forda w Pradze czeskiej. Sądząc po tych zdjęciach, po widocznych na nich gestach i wyrazach twarzy, film nie będzie grzeszył umiarem w artystycznym wyrazie. Raczej należy oczekiwać jednej więcej tandety martyrologicznej. Oby okazało się, że nasze przypuszczenia są fałszywe! — Równocześnie dostaliśmy z Paryża zdjęcia z nakręconego tam filmu, który ma gloryfikować wyczyny francuskiego „Ruchu Oporu” (patrz niżej). I ten film, zdaje się, nie będzie wzorem prostoty i skromności. Raczej chyba będzie francuską odmianą „Zakazanych piosenek”, o czym myślimy z przyjemnością, bowiem miło będzie mieć towarzyszywo niedoli — filmowej. Kasp.

Scena z filmu o „Ruchu Oporu”



— Nareszcie! Nareszcie jest wojna!
— Co ty wygadujesz! Chyba we śnie...
— Wprost przeciwnie. Na Jawie.

Piękna ceta = KREM ODŻYWCZY + KREM PERŁOWY
na noc na noc

LABOR. PERF.-KOSM. **KRYSTYNA WOLSKA**
POD KIER. MGR. F. WOLSKIEGO W-WA. WSPÓLNA 25

gdziekolwiek

WYKWINTNE WODY KWIATOWE I KOŁOŃSKIE

scala

LABORATORIUM KOSMETYCZNE • WARSZAWA

PRŹNA 14

RANO i WIECZOREM

ENOLA

J. POROWSKI • WARSZAWA
ŁÓDŹ • NAPIÓRKOWSKIEGO 24 • TEL 17706

WRÓŻBY! Słynny jasnowidz Stolicy, po Powstaniu warsz. wysłał z Radomia, pisząc w transie, horoskop na całe życie i cenne przepowiednie, dotyczących zaginionych, pracy, majątku, loterii, strat, małżeństwa, egzaminów, studiów, podróży. Przepowiedział klęskę Hitlera. Podać imię, datę urodzenia, stan rodz., trzy pytania; załączyć 100 zł. zadatku. Odpowiedź zaliczeniem. Adresować: Bogusław Matulewicz, Radom 1, ul. Starokrakowska 14. m. 20. Ogłoszenie wyciąć, zachować!

KLASERY

do znaczków pocztowych luksusowe, w trzech wielkościach wyrabia — dostarcza „HAWAG” SP. PRZEM.-HANDL. WARSZAWA, JASNA 5

Trilysin

Wypadanie włosów ustaje

Kamienie żółciowe choroby wątroby żółdka i kiszek, chroniczne zaparcia, artretyzm, zła przemiana materii zwalczać

ZIOŁA „CHOLEKINAZA” H. Niemojewskiego

Sprzedaj w aptekach i skł. apt. Lab. Fizj.-Chem. „Cholekinaza” Warszawa, ul. Mokotowska 50.



(„London Opinion“)
— Tym sposobem nie znajduję
naszych stóp!

NAGRODY

Za „Mury Jerycha“ Tadeusz Breza dostał 100.000 zł nagrody „Odrodzenia“.

Za „Ocalenie“ Czesław Mitosz pojechał jako attaché do USA.

Za „Noc“ Jerzy Andrzejewski dostał 50.000 zł nagrody miasta królewskiego Krakowa.

Za „Margrabiego Wielopolskiego“ Ksawery Pruszyński pojechał jako attaché do USA.

Za „Drzewo rozpaczające“ Władysław Broniewski dostał 50.000 zł nagrody miasta Łodzi.

Za „Sprawę wyobraźni“ Zbigniew Biełkowski wyjechał jako attaché do Paryża.

Za „Sage o Jarlu Broniszu“ Wł. Jan Grabski dostał 100.000 zł nagrody „Odry“.

Za „Świętą Kulę“ Jerzy Putrament pojechał jako poseł do Szwajcarii.

Za „Wielkanoc“ Stefan Ożwowski dostał 50.000 zł nagrody miasta królewskiego Krakowa.

Za „Spacer cynika“ St. Jerzy Lec wyjechał jako attaché do Wiednia.

Za „Sprawy Polaków“ Edmund Osmańczyk dostał 150.000 zł nagrody „Odry“.

Za „Trzynastą Opowieść“ Ksawery Pruszyński wyjechał jako minister do Rzymu.

Za „Z kraju milczenia“ Wojciech Zukrowski dostał 75.000 zł nagrody firmy E. Kuthana.

Za „Rzeczywistość“ Jerzy Putrament wyjechał jako ambasador do Paryża.

Za „Poczęcie“ Wojciech Bąk dostał 50.000 zł nagrody miasta Poznania.

Za „Wieczór w Wieliszewie“ Jerzy Zagórski wyjechał jako attaché do Paryża.

Za „Jarmaz“ Jerzy Kłosowski dostał 40.000 zł nagrody miasta Lublina.

Za „Miejsce na ziemi“ Julian Przybós wyjechał jako poseł do Szwajcarii.

Za „Nowele włoskie“ Jarosław Iwaszkiewicz dostał 250.000 zł nagrody „Odrodzenia“.

...a ja co?

Błedny Koźniewski

REMONT

„Dziennik Zachodni“, oferty: Spółniczek do sklepu przyjmę — względnie odstąpię za zwrotem kosztów remontu.

Jeśli to był remont gruntowny, to — przy dzisiejszym braku gotówki — trudno będzie panu wyciągnąć wkład do tego interesu.

(Nadesłał: M. Pindelski)

URODZINY G. B. S.



Shaw w angielskiej karykaturze

ROZMAITOŚCI

CHA-MY, CHA-MY, CHA-MY

Bardzo niepokojąca jest atmosfera towarzyska, w której się u nas odbywają imprezy sportowe. Pierwszy raz uderzyło mnie to rok czy więcej temu, kiedy prasa doniosła, że w pewnym mieście publiczność niezadowolona z sędziego, zabila go po meczu piłkarskim, a potem jeszcze zrównała z ziemią gospodarstwo nieboszczyka, wydeptując nawet starannie stojące na piłu zboże.

Sytuacja do dziś o tyle się poprawiła, że w wynikach rozgrywek nie cytuje się już trupów. Tym niemniej nie jest jeszcze dobrze. Ostatnio w pewnym mieście, którego nie nazwę, aby go nie hańbić publicznie, odbył się mecz futbolowy. Gra była ostra, ale raczej formalnie poprawna. Natomiast dalekie od poprawności było zachowanie się trybun. W chwili, gdy przyjeżdża druga siatka, zdecydowała się na dość ryzykowne posunięcie, miejscowa publiczność za-

częła krzyczeć pod jej adresem: „Folks-doj-cze, Folks-doj-cze, Folks-doj-cze!“ Obojętnie, kiedy najwęższym zagadnieniem państwowym jest cementowanie Polski w jak najodporniejszą całość, krzyki te — krzywdzące i zarazem budzące nienawiść dzielników — były po prostu ciężkim przestępstwem przeciwko Państwu. Przyjmijmy jednak, że publiczność była tyle ordynarna ile głupia i nie orientowała się w przestępczym charakterze wyzwoisk. Gdzie jednak jest w takim razie nasza podobno tradycyjna polska gościnność? Zeleńcy Słazacy byli przecież gośćmi łżącego miasta!... Na tym jednak nie koniec: po meczu doszło między Słazakami i miejscowymi wielbicielemi futbolu do ugłaskanych kłótni, z udziałem kilkunastu osób, z których obu stronach, tak, że dopiero oddział milicjantów zdołał rozdzielić porających się. — Równocześnie prasa doniosła z in-

nego miasta o meczu, podczas którego publiczność wtargnęła na boisko, aby złinczować graczy i milicja musiała strzelać na postrach, żeby tę publiczność zagnać z powrotem na trybuny.

Gdzie indziej sport jest szkołą gentlemanów. U nas jest szkoła bandziorów. Nie wydaje mi się jednak, żeby sprawy należało pozostawić w tym stanie. Istnieje gdzieś w rządzie jakaś nadzorująca sport instancja, która winna by się zająć wychowaniem sportowej publiczności. Dobrze byłoby np. po jakimś najbliższym skandalu zakazać meczów w kraju na miesiąc w formie kary dla niefortunnych trybun. Równocześnie wartoby wszcząć kampanię wychowawczą na łamach sportowej prasy, przy współudziale fachowców zagranicznych, jeśli okazałoby się, że u nas niema nikogo, ktoby wiedział i mógł pisać o tym, jakie formy kulturalne obowiązują publiczność na stadionach sportowych. J. W-ff

SMERY KRAKOWA

Jejuna z największych atrakcji widowiska „Igrze w Gród wala“ był Barbakan, w którym zostało ono wystawione w ramach imprezy „Dni Krakowa“. Warto przypomnieć, że pomysł wykorzystania Barbakanu jako sceny na ludowe przedstawienia, powstał przed wojną dla tego, gdyż do rotundy Barbakanu trudno dostać się bez bitetu i kontrola przy wejściu jest bardzo łatwa. Jak więc widać — twierdzi autor „Igrców“, znany pisarz i działacz, Adam Polewka — my rzadzi my światem, lecz nami plebiądem.

„Rozdroże miłości“ Jerzego Zawłazkiego, gdzie główną rolę gra kapłan katolicki, ośmielił się w Krakowie sukces wrecz niebywały: 164 przedstawienia w ciągu jednego sezonu. Niedawno była na tej sztuce służąca Andrzej Stokpi, cenionego artysty dekoratora. Po przedstawieniu wróciła wielce rozsierdzona:

— Oto do czego doprowadziła ta demokracja! Już księża muszą zarablać gra na scenie...

Dwa wieczory satyryków w teatrze „Scala“, z udziałem B. Brzezińskiego, K. I. Galczyńskiego, St. Ożwowskiego, J. Waldorfa, W. Zechentera, oraz pewnego afrykańskiego dyplomaty — udały się. Obszerna sala teatru była dwu-

rotnie wypelniona. Dowiodło to nie tylko popularności występujących, lecz i wysokiej kultury miasta. Satyrycy chęć jesienią wyjechać w tej samej grupie na krótki objazd po kraju. Miejmy nadzieję, że i w innych miastach znajdą niemięli licznych i kulturalnych amatorów poezji i prozy satyrycznej.

— Powinni jednak recytować rzeczy nowe, a nie stare (co częściowo robili). Bowiem — jak mówi przysłowie — „Dobry żart 300 zł wart“, ale w takim razie musi być prosto od krowy.

B-cia Rojek

PODZIĘKOWANIE

...te treści ukazało się w „Trybunie Robotniczej“:

Dr J. B-owi, za ryzykowny i udany poród u mojej żony, jak również za okazanie dobrej woli położnej, składa dzięki Bolestaw M..

Grunt, że dziecko zdrowe! Teraz tylko trzeba dbać o to, aby rozwinęło w sobie zdolności stylistyczne, wybitniejsze niż ma ojciec.

(Nadesłał: M. Pindelski)



(„Cavroche“)

— Przepraszam pana, gdzie tu jest wyjście?

W ŁODZI

Niezwykle ciężka klęska dotknęła Łódź. — Jak donosi „Dziennik Łódzki“ nr 196, nastąpiło tam:

Wstrząsanie ruchu kalowego. Pocieszamy się wieściami z Ministerstwa Zdrowia, według których do Łodzi zostało już wysłane 1.500.000 pigułek reformackich, to jest po 3 na zardziałego mieszkańca.

(Nadesłał: T. Kucharski)



(J. Mol)

— Dość Muzo! Przestań! Zablaniaż mi! nuty!

NIE DZIWNE!

„Dziennik Baltycki“ nr 199 informuje mieszkańców Wybrzeża, iż na kartki lipcowe będzie wydawane mięso wieprzowe po 1.400 kg na osobę.

Jesteśmy narodem wrażliwym, wszystkim się przejmujemy, to też nie dziwne, że potem w skutkach przekarmienia doprowadzono — jest u nas tyle świn. Więcej cięcielną, a będzie w Polsce lepiej!

(Nadesłał: W. Grzywiński)

Z ostatniej chwili (telefonem):

Donoszą nam z Warszawy, iż niemal równocześnie zakończył się proces szajki spekulantów, która ukradła państwu 50 ton cyny, oraz zlikwidowana została milionowa afra papiernika poznńskiego hurtownika Dolewskiego, Stanowiska i nazwiska osób zamieszanych w obie afery — budzą największy niepokój. Są wśród nich urzędnicy i dyrektorzy instytucji społecznych i państwowych takich jak Biuro Odbioru Transportów Morskich, Bank Handlowy, Centrala Zaoopatrzania i Zbytu Przemysłu Papierniczego, P. C. H., „Spółem“, Komisja Funduszu Inwest.—Obrotowego, przemysłu Ziemi Odzyskanych, parę fabryk, Spółdzielnia „Dom i Kraj“. Są także wśród oskarżonych członkowie jednych i sympatycy innych partii politycznych. Korporeja uderza się w samo centrum życia przemysłowego i społecznego. Sprawność czynników śledczych i surowość wyroków musi być w podobnych sprawach jak najwyższa. W przeciwnym razie dojdzie do tego, że w każdym bliżnim będziemy mieli prawo upatrywać oszustwa jest nie już czynnego, to gotowego w każdej chwili do malwersacji.

PARYSKIE SZMERY

Niedawno wystawy zakładów fryzjerskich w Paryżu zostały zarzucone sztucznymi warkoczami, lokami, perukami. Równocześnie fryzjerzy zaczęli gwałtownie lansować modę uzupełniania naturalnych włosów kobiecych dokupowanymi włosami, a z pewnego dnia wzbuchił skandal w prasie, wręcz natychmiast zaruszony. Okazało się, że włosy, które załazy Paryż, zostały sprzedane fryzjerom przez spekulantów, którzy nabyl je ze składow... obozów w Ravensbrück i Dachau. H. M.

TEATRZYK Zielona Gęś

ma zaszczyt przedstawić „KOLCZYKI IZOŁDY“ OSOBY TOWARZYSKIEGO DRAMATU:

PANOWIE: TRZETREWIŃSKI & KRUPCZAŁOWSKI.

KOMENTATOR: OSIOLEK PORFIRION.

DEKORACJA: WYGÓDKA Z WYCIĘTYM SERCEM.

Akcja:

(Panowie T. i K. stoją przed Sercem)

(pauza, zrozumiałe napięcie)

Trzetrzewiński: Pan będzie laskaw.

Krupczalowski: Nie, pan będzie laskaw.

Trzetrzewiński: Pan pozwoli, że się panu przedstawie. Trzetrzewiński.

Krupczalowski: Pan pozwoli, że się panu przedstawie. Krupczalowski.

(uścisł dłoni)

Trzetrzewiński: Czy pan też?

Krupczalowski: O, tak. Szalenie.

Trzetrzewiński: Wobec tego pan będzie laskaw.

(błednie, detonacja)

Krupczalowski: Nie, pan będzie laskaw.

Krupczalowski: (zilenienie, detonacja)

Trzetrzewiński: Trzetrzewiński. Przez erzet.

Krupczalowski: Bardzo mi przyjemnie.

Krupczalowski: Przez u. U!

(detonacja, tragedia)

Kurtyna

Osiolek Porfirion:

(do siebie, za kurtyną) Ale dlaczego sztuka nazywa się „Kolczyki Izoldy“? Widocznie, żeby trudniej było zgadnąć, czyli, żeby był nadrealizm, czyli, że wszyscy idzie jak najlepiej na tym jak najbardziej surrealistycznym ze światów. Proszę o „szatana“, czyli filizankę czarnej kawy 18 razy wzmocnionej. Połamecie ręce i nogi.

Koniec

K. I. Galczyński

P. S. Dyrekcja Teatru Zielona Gęś komunikuje u-przejmie, że, natychmiast po ukazaniu się w „Odrodzeniu“ artykułu pt. „Wiersze Galczyńskiego“, wysłała do Andrzeja Stawara z Krynicy pismo specjalne, na które nie ma odpowiedzi. Prof. Bączyński